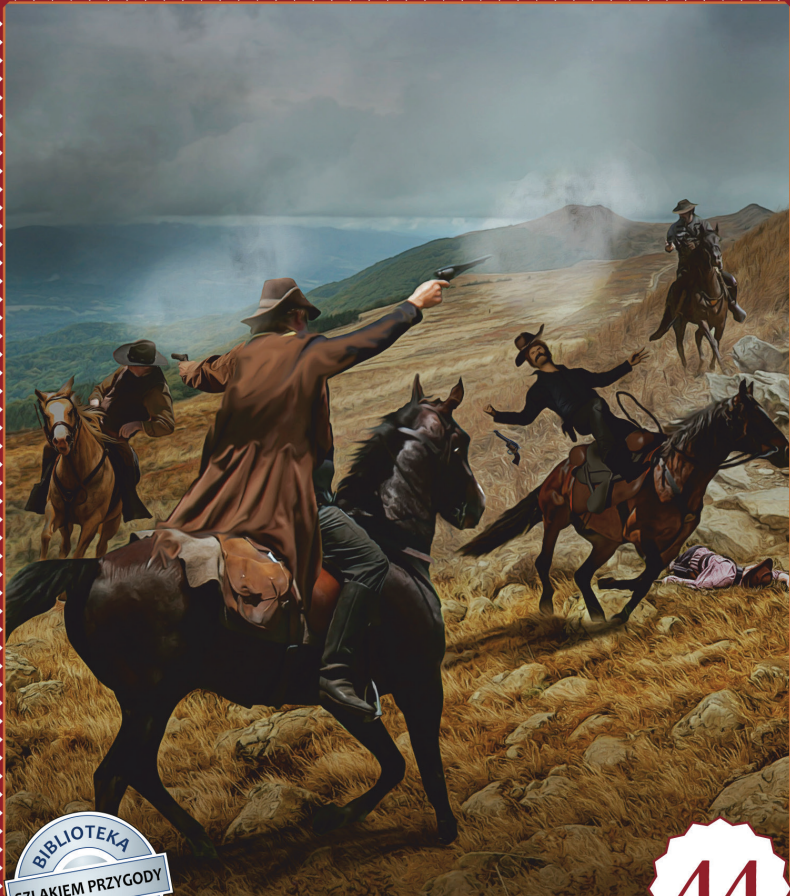




Zane Grey
OSTATNI Z DUANE'ÓW
Część druga



44

ISBN 978-83-66980-58-7 (całość)
ISBN 978-83-66980-60-0 (część druga)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

**OSTATNI Z DUANE'ÓW
Część 2**



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jęźdźców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.



Zane Grey



OSTATNI Z DUANE'ÓW
Część 2

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

Sto sześćdziesiąta publikacja Wydawnictwa JAMAKASZ

Czterdziesty czwarty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Last of the Duanes

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2023

17 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations by Dariusz Kocurek, 2023

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Skład: Andrzej Zydorczak

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2023

Nakład: 200 egz.

Egzemplarz nr

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-66980-55-6 (całość)

ISBN 978-83-66980-57-0 (cz. 2)

Druk i oprawa: Totem.com.pl Sp. z o.o. Sp. Komandytowa
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89

Romer Zane Grey



KRÓL PRERII
King of the range

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

Jeździec ledwo trzymał się na siodle, lekko kołysząc się w takt kroków swego niewielkiego mustanga¹ preriowego i nie spadał głównie dzięki instynktowi. Wypełniająca jego wnętrze kiepska whisky z pogranicza sprawiała, że nie marzył na przesywającym wietrze z północy, a jadąc śpiewał, fałszując końcówki zwrotek popularnej na prerii ballady.

Właściwie jeździec nigdy nie poczuł, jak ciężki ołowiany pocisk ze starej strzelby hawken² na bizona rozrywa mu oba płuca i przebija serce. Został trochę uniesiony siłą uderzenia, tak iż siodło wysunęło się spod niego i runął bezwładnie na twardą i pokrytą szronem ziemię. Zmarł, zanim na niej spoczął.

Rano, kiedy zamordowanego znaleźli jego przyjaciele, ciało miał przez mróz zeszywniałe i stwardniałe, a krew na przedzie zszytej z łat wełnianej kurtki zastygła w kryształki lodu. Colt hogleg³ z pogranicza tkwił nadal w olstrze jeźdźca i nie wystrzelono z niego ani jednej kuli.

– Wpadł w zasadzkę – powiedział Ben Reedy i splunął na ziemię. – Jeżeli nie zjedziemy z płaskowyżu i nie sprzątniemy wszystkie te szumowiny, one do ostatniego wybiją z zasadzki każdego kowboja, jakiego mamy.

– Najlepiej zrobisz zostawiając takie pomysły panu Kingowi – poradził Slim Taylor. – Będzie wiedział, co robić, możesz się założyć,

¹ *Mustang* – zdziczały koń żyjący kiedyś bardzo licznie na preriach Ameryki Północnej, pochodzący od koni, które uciekały konkwistadorom i pierwszym osadnikom hiszpańskim, mniejsze od ras koni hodowlanych, bardzo wytrzymałe, niemal wyginęły wskutek polowań na nie.

² *Hawken* – ładowany od przodu karabin popularny na zachodnich terenach Stanów Zjednoczonych przed wojną secesyjną, produkowany w latach 1823-1886 w St. Louis przez wytwórnię braci Jacoba i Samuela Hawkena, bardzo ceniony ze względu na celność i daleki zasięg, wyparty przez strzelby ładowane od tyłu, jak winchester.

³ *Colt hogleg* – popularna nazwa (po angielsku *hogleg* to „noga wieprza”, od kształtu rękojeści), colta Single Action Army (zwanego też Pacemaker), produkowanego od roku 1872 i stanowiącego główną broń krótką armii amerykańskiej w latach 1873-1892, bardzo popularnego na Dzikim Zachodzie, o wielu odmianach różniących się kalibrem i długością lufy.

i powie nam to, kiedy pora będzie właściwa. A teraz zawiń tego w koc i zawieziemy go do domu.

– Paskudna pogoda na kopanie grobów – powiedział wtedy Ben Reedy. – Mogę dodać, że taka robota jest paskudna o każdej pogodzie.

W jednoizbowej darniówce¹ stojącej pod osłoną Long Butte² chuda kobieta o zgorzkniałej twarzy przyglądała się swemu mężczyźnie czyszczącemu strzelbę.

– Znowuż ino zabijanie – powiedziała. – Czy nigdy się ono nie skończy?

– Nigdy, dopóki King tak wysoko zasiada w siodle – odparł jej mąż.

Rozejrzał się po jedynej izbie. Miała rozmiary osiem na czternaście stóp, była bez okien, a jej ściany wzniesiono ze spiętrzonych śmieci i kwadratów darni wyciętych z prerii. Drzwi tworzyła niewyprawiona skóra zawieszona na framudze z pni drzewek, tak iż wiatr do środka wpadał, kiedy tylko zapragnał. W prostym palenisku płonął ogień, jeden kąt zajmowało łóżko, a drugi siodło. Żona smażyła mięso leżące na postawionym nad paleniskiem żelaznym trójnogu.

– King jeździ wysoko – z goryczą dodał mężczyzna. – Jeździ na grzbietach takich ludzisk jako my. Trzeba z tym skończyć, Mary. Trzeba z tym skończyć, choćby to miało oznaczać zabijanie albo i nie.

– Głupiś, Judzie Ballew – odrzekła jego kobieta. – Urodziłeś się głupi i jeszcze mocniej stałeś się takim. To nie zabijanie uczyni cię mądrym czy bogatym. King ma ludzi, a owi ludzie mają rewolwery. Tak se myślę, że tym, którego umrze, będziesz ty, i to umrzesz szybko.

– Nie zostawił żem żadnego tropu – powiedział nagle mężczyzna.

– Trop tkwi w ichnich głowach – stwierdziła kobieta. – Ino ty i tamci podobni tobie zabijają z długich strzelb. Dowiedzą się i przyjadą. Zakarbij sobie moje słowa.

¹ *Darniówka* – z ang. *soddy*, prosta chata budowana z płatów darni, często występująca w XVIII i XIX wieku na preriach Ameryki Północnej, gdzie bardzo trudno o drewno czy kamienie do wznoszenia domów, a gruba i mocna darni jest łatwo dostępna; jej mieszkańców pogardliwie zwano darniarzami.

² *Long Butte* – góry o tej nazwie występują w Stanach Zjednoczonych, ale w stanach Oregon i North Dakota, może chodzić o Lone Butte w parku narodowym Big Bend w zachodnim Teksasie; angielską nazwą *butte* w USA określane są samotne góry na równinach, o stromych stokach i płaskim wierzchołku, ostańce po zniszczonych przez erozję pasmach górskich.



Właściwie jeździec nigdy nie poczuł, jak ciężki ołowiany pocisk ze starej strzelby hawken na bizona rozrywa mu oba płuca i przebija serce.

W wygodnym dużym pokoju, który w domu właściciela King's Crown Ranch pełnił funkcję kantora i salonu, wielki Jared King jakby czytał w myślach kobiety.

– Oczywiście wiemy, kto go zabił – Jared King mówił swojemu rządcy, Slimowi Taylorowi. – Mała różnica, który dokładnie. To może być każdy z tych szumowin z prerii. I nazywają siebie ranczerami! Nienawiść i zazdrość przeżerają ich wnętrzości, Slimie, dopóki nie stają się tak przepełnieni żółcią, że muszą zabijać.

– Cholerne szczury gryzące z zasadzki – rzucił Slim Taylor. – Co zrobimy, panie King? Ludzie stali się nerwowi. Kiedy wyjeżdżają stąd jak on, to za każdym krzakiem widzą strzelbę.

– Wiem – przyznał ponuro Jared King. – Już zabrałem się do robienia tego, co konieczne. Wysłałem Sama do San Antone¹, żeby przywiózł do domu pannę Georgię. Poleciłem mu wynajęcie rewolwerowców i powrócenie tutaj wraz z nimi. Dostał list kredytowy do banku. Będzie mógł pokazywać złote orły² i wynajmować najlepszych. Zatrudni ich dość, aby zdołali wykonać robotę. Na tej prerii jest gniazdo grzechotników i na pewno się go pozbędziemy.

– Chłopcy ucieszą się, kiedy to usłyszą – powiedział Slim Taylor. – Bydłokrady i te szumowiny darniarze nie oprą się nigdy prawdziwym rewolwerom.

– Nie rób tak zadowolonej miny, Slimie – odrzekł właściciel rancza. – W zabijaniu nie ma niczego radosnego. Taki interes jest paskudny i wolałbym się nim nie zajmować. Gdyby nie chodziło o stado...

– No właśnie – powiedział Slim Taylor. – Stado. Własność Kinga.

Owego roku na wyżyny zachodniego Teksasu zima przyszła wcześnie. Wiatry niby przenikliwy przyływ sphywały z dachu świata, gdzie białe niedźwiedzie podkradają się do fok, a olbrzymie góry lodowe

¹ *San Antone* – inna nazwa miasta San Antonio w Teksasie.

² *Złote orły* – nazwa monety o nominale dziesięciu dolarów, bitej przez mennicę Stanów Zjednoczonych od roku 1792 do 1933, zawierającej około 90% czystego złota, nazywanej od wizerunku orła z herbu USA na rewersie.

rozkruszając swoje zbrocza i potracając się na posępnym morzu Arktycznym.

Wiatry ryczały i jęczały przy samotnej chacie, w której przycupnięta rodzina Kri¹ bała się wilka lobo², a głos wichury brzmiał w jej uszach jak zawodzące w nocy demony.

Wiatry nadciągały przez wysokie, skaliste wzgórza, spadały na płaskowyże Nebraski, omiatając pochyloną równinę Kansas i Terytorium Indiańskiego³. Falami mrozu i szaleństwa spływały na Llano Estacado⁴. Wszystko korzyło się przed nimi.

Nawet w San Antonio⁵, leżącym daleko na południe, wiatry powodowały stukanie okien, waliły w drzwi o obluźwionych zawiasach i osadzonych w fałszywych ścianach przednich z desek szalonego pogranicza, a także budziły cały legion diabłów ze zmrożonego kurzu, które tańczyły na ulicach.

Będący siedzibą urzędu Strażników Teksasu⁶ w San Antonio budynek pochodził z czasów jeszcze meksykańskich¹. Wzniesiono go

¹ *Kri* (ang. Cree) – plemię Indian zamieszkujących głównie środkową Kanadę, także północne skraje Stanów Zjednoczonych, mówią językiem kri, nie występowali w Teksasie, obecnie żyje ich około 350 tysięcy.

² *Lobo* (hiszp. wilk) – używana w Stanach Zjednoczonych nazwa wilka meksykańskiego (*Canis lupus baileyi*), najmniejszego podgatunku wilka szarego, o sierści od rudawej po szarą, z ciemnym pasmem na grzbiecie, występował na terenach Teksasu i północnego Meksyku, obecnie niemal wymarły.

³ *Terytorium Indiańskie* – tereny na zachód od Missisipi, między Kanadą i Teksasem (stany Oklahoma, Kansas, część Nebraski i Dakoty), w roku 1830 przeznaczone do osiedlania na nich plemion indiańskich wysiedlanych z innych części Stanów Zjednoczonych, były dzielone na rezerwy przeznaczone dla różnych plemion; istniało formalnie do roku 1907, choć osadnictwo białych zaczęło się już wcześniej.

⁴ *Llano Estacado* – ogromna mesa (płaskowyż o stromych ścianach) we wschodniej części stanu Nowy Meksyk i północno-zachodniej Teksasu, o powierzchni 97 tys. km², pustynna i półpustynna.

⁵ *San Antonio* – duże miasto w południowym Teksasie, założone jako misja meksykańska w roku 1718, od 1731 miasto, najstarsze w Teksasie, na jego terenie znajdowała się warownia Alamo, słynna z oblężenia w roku 1836; bardzo ważny ośrodek tego stanu, drugi w nim pod względem liczby mieszkańców.

⁶ *Strażnicy Teksasu* (ang. Texas Rangers) – formacja typu policyjnego i paramilitarnego założona w roku 1823 jako organizacja prywatna, od 1835 podległa gubernatorowi Teksasu z zadaniami pilnowania przestrzegania prawa na pograniczu stanu,

solidnie z cegły adobe², a gabinet kapitana MacNelly'ego mógł się szczyścić kominkiem, w którym płonęły szczapy jadaloszynu³ i dębu krzewiastego⁴. Było tam trochę cieplej niż na ulicy i trochę ciszej niż w stojącym obok szynku, ale to wszystko, co ktokolwiek zdołałby o tym miejscu powiedzieć dobrego.

Zarówno kapitan, jak i człowiek, który tego właśnie wieczora siedział naprzeciw niego po drugiej stronie stołu z nieociosanych desek, nosili ciężkie wełniane płaszcze i wysokie kapelusze z szerokim rondem, po których można było poznać Tekszańczyków. Kilka świec migoczących w cynowym świeczniku oświetlało rozłożoną na stole mapę.

Żyłasty, wygarbowany przez pogodę kapitan niemal nie zauważał chłodu. Na leżącej przed nim mapie kreślił ołówkiem jakieś linie.

– To dziki kraj, Buck – powiedział. – Udasz się do niego sam i kiedy wpadniesz w kłopoty, nie będziemy mogli ci pomóc albo co najwyżej tylko trochę.

– Przywykłem do tego – odparł wysoki Strażnik. – Nie musisz się martwić. Powiedz mi tylko, po której stronie mam się opowiedzieć.

Ten wysoki mężczyzna nazywał się Buck Duane. Stał się znany jako banita, zabójca i król nocnych szlaków znanych tylko uciekinierom. Przez prawie dwadzieścia lat stróże prawa polowali na niego jak na wściekłego wilka. Niemal nikt nie wiedział, że był strażnikiem i potajmnym współpracownikiem kapitana MacNelly'ego w niejednym bezlitosnym i krwawym starciu zbrojnym. Nie nosił żadnej odznaki i nie oczekiwał, aby publicznie chwalono go i sławiono za

istnieje do dzisiaj, znana ze skuteczności, zdobyła dużą sławę w Stanach Zjednoczonych, istnieje nadal jako Texas Ranger Division.

¹ *Czasy meksykańskie* – obszar stanu Teksas do roku 1836 należał do Meksyku.

² *Adobe* (hiszp.) – cegła suszona na słońcu, niewypalana w piecu, przeważnie lepiona z gliny zmieszanej z trawą lub słomą, powszechnie używana w krajach o ciepłym klimacie, gdzie rzadko pada, gdyż jest mało odporna na wodę.

³ *Jadłoszyn* (*Prosopis*) – rodzaj niewielkich drzew z rodziny bobowatych, rosnących głównie w obu Amerykach, zwykle na terenach suchych, w Teksasie występują gatunki *Prosopis glandulosa*, jadaloszyn baziowaty (*Prosopis juliflora*) i *Prosopis pubescens*, drzewa o wysokości 6-12 metrów.

⁴ *Dęby krzewiaste* – amerykańska nazwa (*scrub oak*) wieczniezielonego krzewu *Quercus intricata* z rodziny bukowatych, występującego na pograniczu Meksyku i Stanów Zjednoczonych, na wysokościach powyżej 1500 metrów.

wszystko, czego dokonywał. Bandyci postrzegali go za jednego z nich, dzięki czemu miał dla kapitana nieskończenie większą wartość. Przedstawiciele prawa unikali spotkań z nim, zadowoleni, że nie dopuszczał się rabunków na podległych ich terenach.

Ludzie po obu stronach prawa znali jego nazwisko i bali się strzelających z prędkością błyskawicy rewolwerów. Nazywano go „człowiekiem szybszym od atakującego grzechotnika”.

Teraz siedział spokojnie i czekał na wyjaśnienia dowodzącego nim oficera.

– To całkiem proste – powiedział kapitan MacNelly. – Proste, ale zupełnie wyzbyte sensu. Buck, tym razem opowiadasz się po obu stronach. Po obu albo po żadnej. Masz zabijać każdego, którego zabicie będzie konieczne, aby nie zabił on kogoś innego.

Grymas wykrzywił chudą, zwykle niewyrażającą żadnych uczuć twarz Duane’a.

– Tym razem masz rację – przyznał. – To nie ma najmniejszego sensu.

Kapitan MacNelly ze stojącej przy jego prawej ręce butelki nalał dwie szklaneczki whisky i jedną z nich podsunął wysokiemu, niosącemu śmierć mężczyźnie, którego nazywał przyjacielem.

Duane pociągnął odrobinę whisky ze swojej szklanki i rozsiadł się na krześle.

– Musiałeś słyszeć o Jaredzie Kingu – powiedział kapitan MacNelly. – Ma na płaskowyżach największe z wszystkich rancz, z wodą i trawą wystarczającymi dla dwudziestu tysięcy głów, gdyby tylko chciał je tam hodować.

– Piętno King’s Crown¹ – potwierdził Duane. – Każdy jeździec je zna. Ranczo kupione przez niego za brytyjskie pieniądze.

– Zgadza się. Zaczynał jako mieszkaniec wschodu i wykształcił się za granicą, w miejscu zwanym Oxford, za pieniądze własne i przyjaciół, będących książętami i hrabiami mającymi środki, które mogą zmarnować. Po zobaczeniu zachodu i postanowieniu osiedlenia się tutaj, wrócił do siebie i namówił przyjaciół, aby zainwestowali swe

¹ *King’s Crown* – Korona Królewska, nazwa rancza Kinga.

kapitały. Stanowi to jeden z powodów, dla których nazywają go „Królem”¹, a także dlatego, że takie właśnie nazwisko nosi. Już od dziesięciu lat rozbudowuje swoją posiadłość i każdej wiosny Szlakiem Chisholma² wysyła swoje stada. Jest wykształconym człowiekiem, Bucku. Zna się na takich rzeczach, jak księgowość i handel. Zna się na koniach i na bydło. To wielkie ranczo jest bardzo dochodowe. Przynosi złoto, jakby było jego kopalnią, a nie gospodarstwem hodowlanym.

– Do czego taki człowiek miałby mnie potrzebować? – zapytał Duane.

– Poczekaj, a wszystko ci wyłożę – odparł MacNelly. – Być może to nie King cię potrzebuje, chłopcze. Prędyj już Teksas. Wiesz Bucku, jakie jest nasze bydło z prerii. Wyhodowane z kowbojskich krów longhornów³. Dzikie jak wilki i o mięsie twardym jak niegarbowana skóra, dopóki nie zostaną utuczone w Kansas czy w Illinois. King znał tłuste bydło pochodzące z Europy. Mięsa z nich jest tyle, co z trzech lub czterech naszych krów. Zabrał się do hodowania bydła mięsnego, które mógłby wypasać, pędzić i sprzedawać z tłustym mięsem pozostającym jeszcze na kościach.

– Pamiętam, jak o tym gadano – powiedział Duane.

– Teraz, Buck, to już nie tylko gadanie. King z Hiszpanii i Anglii sprowadził byki rozplodowe. Rozmnażał je i krzyżował. W tym roku ma już King’s Own Herd⁴. Na razie dopiero pięćset sztuk bydła, ale

¹ *Król* – po angielsku *king*, Jared King w opowiadaniu przedstawiany jest jako ranczer uważany za nieomal króla zachodniego Teksasu.

² *Szlak Chisholma* – powstały po wojnie secesyjnej szlak, a raczej sieć równoległych szlaków prowadzących ze środkowego Teksasu (okolice San Antonio) na północ, do stacji kolejowych w Kansas, którym pędzono stada bydła przeznaczonego do rzeźni, głównie w Chicago.

³ *Longhorny* (ang. długorogie) – rasa Texas longhorn, pochodząca od bydła sprowadzonego przez hiszpańskich konkwestadorów, hodowanego głównie w Meksyku, często dziedzicznego, skrzyżowanego w Teksasie przez amerykańskich osadników z bydem sprowadzonym z wschodniej części USA, rasa o różnym umaszczeniu, wyróżniająca się bardzo długimi rogami, o rozpiętości do 2,5 m, stąd nazwa; hodowane dla mięsa.

⁴ *King’s Own Herd* (ang.) – Stado Należące do Kinga, bądź Stado Królewskie, nazwa nowej odmiany bydła, wyhodowanej przez Kinga.

takiego, jakiego Teksas nigdy dotąd nie widział. Chłopie, jeśli nasi farmerzy wyhodują i przepędzą tamte krowy do końcowej stacji kolei, to uzyskają cenę trzy razy wyższą od tej, jaką teraz otrzymują na rynku. To jedno stado, Bucku, jest zarodkiem bogactwa całego hodującego bydło Teksasu.

– Mów dalej – powiedział Duane, gdy kapitan zamilkł.

– To znaczy – odezwał się znowu MacNelly – jeśli wszystko pójdzie tak, jak King zaplanował. Praca, którą włożył w hodowlę tych wołów, przyniesie bogactwo każdemu człowiekowi w Teksasie, jeśli tylko stado przeżyje, będzie rozmnażane i krzyżowane.

– W tej talii się znajdować jakiś dzoker – powiedział Duane. – Wyłumacz mi, dlaczego to stado nie przeżyje bez strażnika, który zostanie akuszerem przy jego porodzie.

MacNelly wskazał na mapę.

– Widzisz tutaj King's Crown – położył na niej palec. – To jedno wielkie rancho ciągnące się przez sto mil. Jak na razie nie ma tam jeszcze niczego oprócz dziesięciu drobnych krów i beczynnych kowbojów. Może są jeszcze pasterze z kilkoma krowami, bydłokradzi i łowcy bizonów, którzy na wysoko położonych Ogrodzonych Równinach¹ harują, żeby zarobić dolara. Mali ludzie o małych rozumach, Bucku. Nienawidzą Kinga, bo jest wielki. Nienawidzą jego stada, bo jest lepsze od wszystkiego, co dotąd w życiu widzieli. Od lat uprowadzali jego bydło, aby zyskać wołowinę i pluli na ślady, które zostawiały jego konie.

– Nic nowego pod słońcem – powiedział Duane. – Dotyka to wszystkie wielkie gospodarstwa. Czy ten gość nie jest dostatecznie męski, żeby samemu radzić sobie z takimi kłopotami?

– No oczywiście, że jest – odparł MacNelly. – A w każdym razie tak sądzi. Jego brat jest w mieście i wynajmuje rewolwerowców. Będą strzelali i zabijali ludzi. Wojna na prerii. Właśnie tam pojedziesz, Bucku.

– A po której stronie mam walczyć, kapitanie? Przecież już cię o to pytałem.

¹ *Ogrodzone Równiny* (ang. *Staked Plains*) – tłumaczenie hiszpańskiej nazwy Llano Estacado, pochodzącej stąd, że strome ściany tego płaskowyżu wyglądają jak palisada.

– A ja już ci odpowiedziałem. Masz walczyć po obu stronach. Pojedziesz po to, żeby zapobiec wojnie. Ktoś za tym stoi, Bucku. Ktoś chce unicestwić posiadłość Kinga, a co jeszcze gorsze, zniszczyć całkowicie jego stado. Nie wiemy, kim on jest, ale wiemy, że ktoś taki jest. Podjudza małych ludzi, aby wyplenili nową rasę bydła. Jeśli nie powstrzyma się wojny o tereny, wówczas i tak dojdzie do wyplenia. King wybije małych ludzi, ale zanim oni zginą, dobiorą się do jego stada. Właśnie dlatego tam cię wysłałam, Bucku. Jak wiesz, Strażnicy nie mogą interweniować wprost, zanim nie pojawią się kłopoty. Gdybyśmy jednak poczekali na rozpoczęcie się walk, mielibyśmy małe szanse na pojawienie się tam w porę. Polegam na tobie, Bucku.

– Wielki Boże, nie możesz inaczej? – wybuchnął Duane. – Wysłasz jednego człowieka, żeby walczył po obu stronach uczestników wojny. Przecież z wykonaniem tego zadania miałby trudności Siódmy Pułk Kawalerii¹ jak i całe plemię Komanczów².

– Polegam na tobie, Buck – powtórzył kapitan MacNelly.

Tego samego wieczora w San Antone, najwyżej pół mili od miejsca, w którym naradzali się dwaj Strażnicy, Wielmożny³ Sam King, członek Legislatury Stanowej⁴ i młodszy brat Jareda Kinga, rozsiadł się wygodnie przed ogniem buzującym w kominku najdroższego apar-

¹ *Siódmy Pułk Kawalerii* – utworzony w roku 1866, od 1867 jego dowódcą był generał George Custer, uczestniczył w walkach z Indianami, głównie w Kansas, Montanie, nie w Teksasie, w tym w bitwie nad Little Bighorn w 1876, zakończonej klęską i śmiercią Custera, od 1895 działał w Arizonie, Nowym Meksyku i Oklahomie, w latach 1916-1917 walczył w Meksyku z oddziałami Pancho Villi, także w I wojnie światowej; stacjonuje w Teksasie od roku 1921.

² *Komancze* – plemię Indian z Ameryki Północnej, mówiące językiem z rodziny utoazteckiej, od końca XVII wieku, po opanowaniu jazdy konnej, wiodło koczownicze życie w południowej części prerii, bardzo wojownicze, walczące z Meksykanami, a potem z Amerykanami, głównie w Teksasie (lata 1840-1875), aż zostało zmuszone do zamieszkania w rezerwach, obecnie jest ich około 17 tysięcy.

³ *Wielmożny* – w oryginale Honorable, tytuł przysługujący w Stanach Zjednoczonych różnym wyższym urzędnikom, od prezydenta-elektą przez gubernatorów i członków Kongresu po sędziów.

⁴ *Legislatura Stanowa* – w Stanach nazwa dwuizbowego parlamentu w większości stanów, w Teksasie istnieje od roku 1846, z siedzibą w Austin.

tamentu najlepszego hotelu w tym mieście. W ręce trzymał szklaneczkę najlepszej importowanej szkockiej whisky oraz srebrne pudełko czarnych hawańskich *cherootów*¹. Koszulę miał świeżo wypraną i uszytą z irlandzkiego lnu, a jego buty były arcydziełem mistrzowskiej sztuki szewskiej.

Sam King – „Sędzia” King, jak był nazywany, choć tytuł ten nosił wyłącznie honorowo – miał takie same co jego brat Jared piaskowo-rudawe włosy, szare oczy oraz wielkie, choć chude i kościste ciało. Różnica pomiędzy nimi w istocie nie przekraczała cała we wzroście i trzech funtów w wadze. Jeżeli zobaczyło się któregoś z braci z daleka i wśród tłumu, jednego można było łatwo wziąć za drugiego.

Jednakże widząc obu braci obok siebie, nie można było żywić wątpliwości, który z nich nosił tytuł „Króla”. Jared był wielki i silny, o twardej ręce i stalowym spojrzeniu, z wyczuwalną przez wszystkich stykających się z nim wewnętrzną mocą.

To właśnie owej wewnętrznej mocy brakowało sędziemu Kingowi. Ten niedostatek, a także ogólne, nieokreślone ospalstwo nerwów, odróżniały go od starszego brata i stawały stopień niżej. Owego wieczora nie było to zbyt widoczne. Od rozgrzanego whisky i ogniem Sama było wprost lekkie zadowolenie z życia.

Przynajmniej takie wrażenie odnosiła młodsza od mężczyzny kobieta, siedząca obok niego przed kominkiem. Była wysoką dziewczyną, o pięknych kształtach, długich nogach i pełnych piersiach, mająca jasnoniebieskie oczy i długie, jasnobrązowe włosy.

– Ojciec – powiedziała cicho – chęć spotkania się ze mną nie była prawdziwą przyczyną twojego przyjazdu tutaj.

– Oczywiście, że była – zapewnił Sam King, ale bez przekonania.

– Ależ nie była – odpowiedziała jego córka. – Nie myśl sobie, że przez dwa lata pobytu w szkole w Nowym Orleanie zapomniałam o wszystkim, czego nauczyłam się przez całe życie przed nią. Otóż nie zapomniałam. Potrafię popatrzeć na niebo i stwierdzić, kiedy wieje wiatr północny, tak jak potrafiłam zawsze. Umieję także wywahać inny rodzaj wiatru, na którym chylą się ludzie, a nie wysokie trawy.

¹ *Cherooty* – rodzaj cylindrycznych cygar bez filtrów, obcinane fabrycznie, początkowo tanie wyroby z Indii i Birmy, później marka drogich cygar kubańskich.

– Nie wiem, Georgio, o czym mówisz.

– Och, oczywiście wiesz, ojczu. Mówię o tych pracownikach rancza, których przez cały dzień najmujesz.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego – zapewnił córkę Sam King. – Wiesz przecież, że nowe stado będzie potrzebowało uważnej opieki, a jego przepęd następnej wiosny będzie najważniejszy z wszystkich, jakie dotychczas dokonywaliśmy. Jestem pewny, że stryj Jared napisał ci wszystko o nowej rasie bydła.

– No oczywiście, że napisał. King's Own Herd, rasa, która sprawi, że w Teksasie będzie najwięcej bydła z wszystkich stanów Unii. – Jej głos był niski, budzący nabożny lęk, kiedy się odzywała. – Tak, ojczu, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę te wspaniałe sztuki.

– Wobec tego...

– Jednakże nie o tym mówię i dobrze o tym wiesz. Najmowani przez ciebie ludzie nie są pasterzami czy poganiaczami bydła. W takiej sprawie nie jesteś w stanie mnie oszukać.

– Mylisz się – powiedział Sam King.

– Ani trochę się nie mylę i nie jestem jakąś głupiotką dziewczyną ze Wschodu. Jednym z wynajętych przez ciebie ludzi jest Pecos Red¹. Chyba nie myślisz, że nie wiem, kim jest Pecos Red? To rewolwerowiec. Zabójca do wynajęcia. Jeśli chcesz, żebym wyraziła to wprost, jest on zawodowym płatnym mordercą. Skąd przyszło ci do głowy, że Ranczo King's Crown powinno wynajmować rewolwerowców, żeby przepędzać zimowe stado? No skąd?

– Mamy trudności – odpowiedział Sam King.

– Trudności? Z kim? Komancze jeszcze nie doszli do siebie po ostatnim laniu, jakie im sprawiono. Wielcy bydłokradzi nie tykają tak wielkich posiadłości jak nasza. Przynajmniej dopóty Król ma kowbojów, którzy go chronią. A zatem z kim?

Sam King poruszył się niespokojnie w swoim wygodnym fotelu.

– Nie chcieliśmy zawracać ci głowy, Georgio. Sprawa się nasilała. Darniarze. Ci mali samodzielni ranczerzy.

¹ *Pecos Red* – przezwisko nadane od nazwy odmiany ostrej, czerwonej papryczki, bardzo popularnej w kuchni teksańskiej.

– Ludzie z pogórza? – zapytała z niedowierzaniem. – Ci kowboje bez zajęcia? I na tych nędznych szczurów potrzebujecie trzynastu wynajętych rewolwerowców? Wiesz przecież, że zawsze pozwalaliśmy, aby od czasu do czasu zabili, a potem zjedli jakąś krówkę. Oczekiwaliliśmy tego. I teraz ni stąd ni zowąd potrzebujemy armii!

– Mówiłem, że nic nie rozumiesz – odpowiedział jej ojciec. – Sytuacja jest gorsza, niż ci znana. Darniarze zabrali się do strzelania do koni, do krów, i to bez ćwiartowania ich na mięso, a nawet do zabijania ludzi. Georgio, złotko, dwóch naszych ludzi napadnięto z zasadzki i zamordowano.

– Och, nie! – ze szczerą troską rzuciła Georgia King. – Zabijają naszych chłopców! Nie doznali od nas nigdy żadnej krzywdy. Dlaczego mieliby robić coś takiego? Dlaczego, ojczu? Dlaczego?

Sam King dopił whisky.

– Wiem, moja droga, że uważasz to za dziwne. Jesteś kobietą. Nie masz pojęcia, jacy są mężczyźni. – Ponownie na chwilę zamilkł, wpatrując się coś w migoczącym płomieniu w kominku. – Czasami myślę, że nienawiść i zawiść są najpotężniejszymi uczuciami, jakich może doznawać mężczyzna.

Coś w jego głosie sprawiło, że siedzącą obok niego dziewczynę przeszedł docierający aż do szpiku kości zimny dreszcz.

Wczesnie rano następnego dnia Sam i Georgia Kingowie wyjechali z San Antonio, zaczynając pierwszy odcinek długiej drogi na północ i zachód, zmierzając do wysoko położonego Rancza King's Crown. Towarzyszyła im niemała karawana, na którą składały się trzy duże i powolne wozy ciągnięte przez muły, załadowane różnymi niezbędnymi na ranczu rzeczami i zapasami żywności na zimę, poganiacze tych mułów i dwaj kowboje, którzy przybyli z Samem Kingiem. W furgonie jechało trzynastu rewolwerowców, wynajętych przez Sama Kinga podczas jego pobytu w mieście.

Ludzie ci przeważnie siedzieli spokojnie, dla ochrony przed mrozem skuleni i owinięci ciężkimi wełnianymi płaszczami, mając naciągnięte na oczy kapelusze o szerokich rondach.

Jedynym jadącym konno w pobliżu wielkiego Sama Kinga i jego bratanicy¹ był mężczyzna nazywany Pecos Red. Na twarzy tego młodego jeszcze człowieka widoczne było zmarszczki wynikłe z nieustannej świadomości zagrożenia i śmierci. Był chudy jak szkielet, a różowy rumieniec suchotnika² już pojawiał się na jego policzkach.

Oczy miał zdziżące, niespokojne, zerkające ciągle na boki z czujnością ściganego zwierzęcia. Przyglądał się roześmianej, rozochoconej dziewczynie, która jechała tuż przed nim. Nosił krótką kurtkę z rozcięciem na plecach, żeby nie zasłaniała wiszących u jego pasa dwóch dużych rewolwerów.

Grupa jechała powoli, hamowana przez trudności w ciągnięciu mocno obciążonych ładunkiem wozów. Kilka mil na północ od ostatnich rozproszonych chat miasta karawanę Kinga wyprzedziło dwóch konnych jadących w tym samym kierunku i znacznie szybciej.

Starszy z tej dwójki mężczyzn był wysoki, szczupły i zgrabny, a jechał na wspianym okazie konia z pogranicza. Jego ubranie, buty i siodło były całkowicie przeciętne, ale poruszał się ze swobodą, dzięki której jako ktoś niezwykły wyróżniałby się w każdym towarzystwie.

Jego twarde spojrzenie ogarnęło mijane wozy i jeźdźców, nie zdradzając przy tym żadnych uczuć. Nosił dwa rewolwery, przypięte do pasa, ale pod długim płaszczem, a w olstrze siodła wiózł karabin winchester³ kalibru 44. Jechał swobodnie, równoległe do drogi, po której z trudem posuwały się wozy. Twarz miał ukrytą za chroniącą przed mroźnym zimowym wiatrem chustką, która przesłaniała jego usta i nos.

Towarzyszący mu mężczyzna był młodszy, szczupły, o wesołych, roześmianych oczach, którymi przyglądał się innym jeźdźcom, a zwłaszcza Georgii. Obaj utrzymywali stałe, szybkie tempo i grupę Kinga wyprzedzili, zanim upłynęło kilka minut.

¹ *Bratanicy* – wcześniej w tekście podano, że Georgia jest córką Sama Kinga, a bratanicą Jareda.

² *Suchotnik* – dawne określenie chorego na gruźlicę, chorobę w XIX wieku nieuleczalną i śmiertelną.

³ *Winchester* – strzelba produkowana przez amerykańską firmę Olivera Winchestera od roku 1866, było jej wiele rodzajów, powtarzalna, ładowana dźwignią, powszechnie stosowana na Zachodzie USA, najpopularniejszy był Model 1873, o kalibrze 0,44 cala (11,2 mm).

– Kim był tamten mężczyzna? – zapytała Georgia swojego ojca.

– Nie wiem – odpowiedział Sam King, wyrwany z rozmyślań. – Zapewne jakiś kowboj szukający pracy.

– Na pewno nie – stwierdziła Georgia. – Żaden bezrobotny kowboj nie jeździ tak jak on. Ten dosiadał konia jak król prerii. Chciałabym wiedzieć, kim on jest.

W tej właśnie chwili Pecos Red został w tyle, aby zrównać się z jednym z przyjaciół.

– Charlie, widziałem gdzieś tego wielkiego *hombre*¹ – powiedział do niego. – To jeden z nas, ale nie jestem w stanie podać jego nazwiska. Znasz go?

– Nie widziałem jego twarzy – odparł Charlie.

Tym wielkim mężczyzną był Buck Duane, a drugim jego przyjacielem, Jackrabbit Kid².

Buck Duane i Kid jechali szybko i bez odpoczynku. Okolice rancza King's Crown chcieli osiągnąć przed spadnięciem opóźniającego posuwanie się śniegu. Odbywając takie przejazdy Duane przeważnie spędzał noce pod gołym niebem. Nawyku tego nabrał po długich latach ucieczek przed prawem, podczas których dach i dymiące paleńsko oznaczały zagrożenie, a nie schronienie i gościnę.

Tym razem jednak unikanie nielicznych rancz, szynków i małych przygranicznych miasteczek nie było konieczne, a Kid znacznie mniej od Duane'a przywykł do zimowych biwaków. Każdą noc oprócz jednej przespali pod dachem.

Duane rozpoznał oddział Kinga. Znał z widzenia kilku rewolwerowców wynajętych przez Sama i trafnie odczytał ich obecność jako oznakę krwawej przemocy, która bardzo szybko wybuchnie na płaskowyżach³.

¹ *Hombre* (hiszp.) – człowiek, mężczyzna, w sąsiadującym z Meksykiem Teksasie używano wiele słów hiszpańskich.

² *Jackrabbit Kid* – przydomek, dosłownie Zając Dzieciak.

³ *Płaskowyże* – chodzi o Wyżynę Edwardsa (Edwards Plateau) w środkowym Teksasie, między dolnym biegiem Pecos i środkowym Colorado, stanowiącą głównie prerię, z nielicznymi żyznymi glebami, rzadko zaludnioną.

– Wygląda na to, że King tworzy swoją armię – powiedział Strażnik do Jackrabbita Kida. – Wynika stąd, że wkrótce już zaczną się prawdziwe kłopoty. Wielkie znaczenie ma teraz każda godzina, o którą przybędziemy tam przed nimi.

– Czy nie ma możliwości, że sytuacja rozładuje się sama? – zapytał Kid swojego wielkiego przyjaciela. – Moim zdaniem wszyscy ci drobni ranczerzy zastanowią się dwa razy, zanim wystąpią przeciwko tyłu wynajętym rewolwerowcom. Na ich miejscu prędzej położyłbym uszy po sobie i zapadł się pod ziemię, niż zmierzyłbym się z Pecosem Redem i jego chłopakami.

– To dlatego, że masz dość oleju w głowie, aby nie pchać palca między drzwi – odparł Duane. – Ludzie, o których mówisz, zapewne go nie mają. Zamiast rozumem powodują się głodem, nienawiścią i zawiścią.

– A zatem są głupi.

– No pewnie, że są głupi – powiedział Duane. – Na dłuższą metę nie są w stanie walczyć z taką posiadłością jak King's Crown i zwyciężyć. Może nawet są tego świadomi, ale to ich nie powstrzymuje. Kiedy tylko ta grupka przyjedzie, wieść o tym się rozniesie. Nie minie kilka dni, a zacznie się zabijanie, choćby nawet Jared King tego nie chciał. Jeśli nie zaczną go bydłokradzi, Pecos Red i tak nie odpuszcą. Zapłatę i premie dostaje za coś więcej, niż spędzenie całej zimy na siedzeniu w czworakach¹ i jedzeniu fasoli i solonej wieprzowiny. Będzie wolał wykonać swoją robotę i wynieść się stamtąd.

– Potrafię zrozumieć, jak się na to zapatruje – powiedział Kid. – Został wynajęty na wojnę, a więc woli, żeby do niej doszło. Jeżeli nawet po jego przybyciu tam zupa będzie nadal ledwo pyrkotała, to dla własnej korzyści sprawi, żeby zaczęła szybko wrzeć.

– Masz rację – przyznał Duane. – Zapewne ktoś jest już podejrzewany o bycie tym, który zabija z zasadzki. Red i jego chłopcy spalą dom tego człowieka, rozpędzą mu zwierzęta, jeśli je ma, a jego samego wraz z rodziną wygnają na zimę, żeby zginęli z głodu. Tamten

¹ Czworak – w kompleksie zabudowań dworskich lub folwarcznych budynek mieszkalny przeznaczony dla służby (także formali i in.).

darniarz oczywiście odpowie walką i zostanie zabity. Wówczas pozostali darniarze postanowią napaść wspólnie na posiadłość Kinga. Oczywiście szanse na przetrwanie będą mieli takie same, co śnieżka na rozpalonym piecu, ale brakuje im rozumu, aby o tym wiedzieć. Wyruszą na Pecosą i jego chłopców.

– No – Kid zgodził się z nim – a wtedy będzie tak, jakby zgraja piesków salonowych zwarła się w walce ze stadem wilków lobo. Amatorzy nie mogą stawić czoła zawodowym rewolwerowcom.

– Właśnie tak.

– Dlaczego zatem tam jedziemy, Bucku? Czy tych durnych darniarzy mamy powstrzymać przed sprawieniem im rzezi? Czy to tego chce kapitan MacNelly?

– Niezupełnie – odrzekł Duane. – Jak wiesz, Strażnik nie może opowiadać się po jednej ze stron, a gdyby się opowiedział, wtedy musiałby po stronie Kingów. To oni działają zgodnie z prawem i porządkiem, a przynajmniej, dopóki chłopcy Pecosy kogoś nie zamordują. Przecież to ci drobni napastnicy z zaskoczenia wcinają wołowinę Kinga i zabijają z zasadki jego kowbojów. Nie, podczas tej wyprawy postąpimy właściwie nie stając w obronie skazanych z góry na przegraną.

– Co więc mamy robić?

– Na razie spróbować dotrzeć tam, zanim spadną wielkie śniegi, które zmuszą nas do schronienia się w jakiejś norze. Potem zaś mamy zapobiec wojnie. Kapitan MacNelly uważa, że ktoś po stronie darniarzy okaże się dostatecznie bystry, by wiedzieć, że Jareda Kinga najbardziej zaboli, jeśli zostanie wybite się lub skradzione jego cenne stado. I zaboli. Tak samo jak resztę stanu Teksas. Do tego właśnie nie możemy dopuścić, a kapitan i ja uważamy, że najlepszym sposobem jest sprawienie, aby nie zaczęły się żadne walki. Nie wiem jeszcze, jak zdołamy to uczynić, ale takie jest nasze zadanie.

Kid skulił ramiona wystawione na ciągle nasilający się chłodny wiatr północny.

– No pięknie – powiedział. – Po prostu pięknie. Tobie i mnie przyjdzie walczyć jednocześnie z tymi burakami i z Pecosem Redem. Ot tak. Czy stary King nie może sam zadbać o swoje krowy?

– Kiedy Sam wróci tutaj ze swoimi jeźdźcami wojny, to ty masz zostać ich dowódcą. Chcę, żebyś trzymał ich na wodzy naprawdę mocno. Jeśli już musi dojść do dalszego zabijania, to nie chcę, żeby zaczęli je nasi ludzie – rzekł Jared King swojemu rządcy.

– Wie pan przecież, co powie pan Sam – zaprotestował Slim Taylor. – Był pan pod Shiloh¹ i Vicksburgiem², tak jak my wszyscy. Powie panu, że należy jako pierwszy uderzać na wroga. Będzie chciał spalić tych próżniaków i wyprzeć ich poza grań wzgórz. Opowie się za atakowaniem, tak samo jak wynajęci przez niego rewolwerowcy. Ci lubią wykonać robotę, dostać za nią zapłatę i wrócić do kobiet i kart.

– Wiem o tym wszystkim – powiedział Jared King. – Jeśli ma dojść do wojny, to będziemy ją toczyli. Przed nią to ja wydaję rozkazy, a nie Sam czy któryś z rewolwerowców. Równie dobrze jak ja wiesz, Slimie, że kiedy tylko zacznie się zabijanie, tamci pójdą po moje stado. Nie możemy zamknąć w oborze pięciuset głów bydła. Gdybyśmy nawet mogli, to na obory wysyłałiby z łuków podpalające strzały. Tych pięciu byków rozplodowych też nie da się zastąpić. Ich życie jest właśnie teraz więcej warte, niż jakiegokolwiek człowieka w Teksasie. To je musimy strzec przede wszystkim.

– Wiem – stwierdził Slim Taylor. – Ma pan rację. Jud Ballew sam jest mieszanicem, i są jeszcze inni, w których żyłach płynie krew Indianców. Kiedy tylko wpadną na ten pomysł, żaden szpaler wartowników nie zdoła odgrodzić ich od stada. Szczególnie w zimie. Po nastaniu wielkich śniegów będą mogli wywołać stampede³ całego stada, a wtedy ono zamarznie i padnie.

¹ *Shiloh* – małe miasto w stanie Tennessee, przy granicy ze stanem Missisipi, pod którym 6 i 7 kwietnia 1862 roku odbyła się bitwa pomiędzy wojskami Unii i Konfederacji, zakończona zwycięstwem sił Unii dowodzonych przez gen. Ulissesa Granta.

² *Vicksburg* – małe miasto w stanie Missisipi, nad rzeką tej nazwy, pod którym 19 i 22 maja 1863 roku wojska Unii dowodzone przez gen. Ulissesa Granta zaatakowały skupione tam siły konfederacji i zostały odparte po ciężkich stratach, Grant rozpoczął wtedy oblężenie obwarowanego miasta, które skapitulowało 4 lipca, co przyczyniło się znacznie do zwycięstwa Unii w wojnie secesyjnej.

³ *Stampede* (ang.) – wydarzenie, kiedy wiele dużych zwierząt lub wiele osób nagle postanawia przenieść się szybko i w niekontrolowany sposób w inne miejsce, zazwyczaj w tym samym kierunku i w tym samym czasie; głównym powodem jest strach.

– Resztę bydła perriowego moglibyśmy zastąpić – powiedział Jared King – ale nie zdołamy zastąpić King’s Own Herd.

Jud Ballew swoich przyjaciół ugościł w przechylnym domu z cegieł adobe i wikliny, stojącym w głębi pogórza w odległości co najmniej dwudziestu mil od bujnych pastwisk King’s Crown Ranch. Dla osłony przed wiatrem okna były tam szczelnie zasłonięte. Płomień niewielkiego ognia i kilka pryskających świeczek łożowych dawały dostatecznie dużo światła, aby obecni mogli się nawzajem widzieć. W tej pustej izbie nie było prawie niczego więcej do oglądania.

Pili nieoczyszczoną whisky i odbywali naradę.

– Nadeszła pewna wiadomość – Ballew oznajmił pozostałym, których oprócz niego było sześciu.

Razem stanowili zarząd grupy, która nadała sobie nazwę „Stowarzyszenie Niezależnych Ranczerów Zachodniego Teksasu”, wymyśloną osobiście przez Ballewa. Według niego ta pompatycznie brzmiąca nazwa owej grupie nadawała pewne pozory działalności zgodnej z prawem i legalności.

Wszyscy wyczekująco spojrzeli wtedy na Juda Ballewa.

– Kowboj, którego oczekiwałem, przyjechał wczoraj wieczorem – powiedział ten z brzmiącą w głosie nutą triumfu. – Mój przyjaciel przekazał przez niego wiadomość dla mnie. Przyszła pora na uderzenie w obronie naszych wolności.

Niektórzy jego oznajmienie przyjęli z pochwałą, ale u obecnych daleko było do jednomyślności.

– Wstrzymaj się teraz na chwilę, Jud – powiedział jeden ze starszych mężczyzn. – Czy nie mówisz odrobinę za ostro? No pewnie, że nie zgadzamy się z Jaredem Kingiem. Między małymi i dużymi gospodarstwami zawsze występują różnice, ale z tego nie wynika wcale, że musimy wydawać sobie bitwy. Kiedy ludzie różnią spory, nie jest to powodem, aby nie mogli ich rozstrzygnąć w rozsądny sposób. Tak właśnie mówię i jak dla mnie ma to sens.

Wśród pozostałych powstało poruszenie.

Jud Ballew nie dał czasu, żeby jeszcze ktoś się odezwał.

– Czyżbyś uważał, Jimie Willsie, że nie musimy zacząć walki o nasze prawa? No cóż, ja sam myślę, że według starego Jareda Kinga powinniśmy. Z jakiego innego powodu miałby w San Antone wynająć trzynastu płatnych zabójców? Pytam was wszystkich. Po co miałby potrzebować trzynastu rewolwerowców, gdyby nie chciał nas wybić?

Nastąpiły warknięcia oznaczające potwierdzenie.

Jim Wills nie uległ jednak zastraszeniu. Pośród drobnych ranczerów należał do tych, którym najlepiej się powodziło. Przez lata wyhodował stado liczące prawie dwieście sztuk bydła, oznaczonych jego piętnem J-W. Przeważnie wypowiadał się w imieniu innych, co bardziej odpowiedzialnych drobnych ranczerów z całej tej krainy.

– Daj mi mówić – powiedział. – A może dlatego, że nie podoba mu się trwające zabijanie bydła i atakowanie z zasadzki. Tak samo, jak niektórym z nas nie podoba się zabijanie kowbojów. Może być tak, że wynajmując rewolwerowców – to znaczy, jeśli ich wynajął – zamierzał jedynie bronić tego, co słusznie do niego należy. Wedle mnie chodźmy z nim pogadać, zanim znowu dojdzie do zabijania.

– Coś pomieszało ci się w łbie – głos ten dobiegł z obrzeża kręgu obecnych.

– Mówię, że rozsądni ludzie mogą załatwiać sprawy w rozsądny sposób – powtórzył z uporem Jim Wills. – Ani ja, ani moi ludzie nie zamierzamy chwytać za broń, dopóki nie będziemy wiedzieli, że tak musimy.

– I właśnie musicie – powiedział Jud Ballew. – Co powinno się stać, żeby cię przekonać? Musiałbyś zobaczyć swoje gospodarstwo spalone nad twoją głową i swoje dzieci głodujące na śniegu. Do czego innego miałby King najmować se tych zabójców?

– Jeszczem nie widział onych zabójców.

– Rzekł żem ci, Jimie – powiedział Ballew – że mój przyjaciel przysłał kowboja, aby dostarczył wiadomości. Przysłał człeka, który wyruszył na zachód i szybko jechał. Możesz zaufać tym wieściom. Są najęci zabójcy, a zabijanie jest ich fachem. Kiedy tutaj dotrą, zobaczysz to na własne oczy. Ty i twoi przyjaciele uważacie się za lepszych od nas, ale z ich broni padniecie tako samo jak reszta.

– A skąd mamy wiedzieć, czy możemy wierzyć temu twemu tajemniczemu przyjacielowi? Kim on jest? A jeszcze skąd właściwie mamy wiedzieć, że tamten kowboj przyjechał do ciebie? Wiemy, że nienawidzisz Kinga, ale to chyba wszystko, co wiemy.

Tym razem jeden z pozostałych obecnych poparł Jima Willsa.

– Zgadza się, Jud. Kimże jest ten przyjaciel? Czemu on chce, żeby tu na prerii wybuchła wojna?

– Nie mogę rzec wam, jak się nazywa – odparł Ballew. – Jedno wszakoż mogę. Jest on człowiekiem nienawidzącym Kinga za jego niesprawiedliwość, jako i my wszyscy. Chce pomóc nam, szaraczkom.

Jim Wills wykorzystywał swoją przewagę.

– A czemuż to ów tajemniczy człek nie pokaże swoich kart? Chce wojny. Ty też chcesz wojny. A czy reszta nas? Kim jest ten przyjaciel?

– Pokażę ci, że z niego jest przyjaciel. Jego kowboj przywiózł to, żeby nam pomóc – powiedział Ballew i z kieszeni brudnego płaszcza wyciągnął sakiewkę z jeleniej skóry, a jej zawartość wysypał na podłogę.

– Wielki Boże! – rzucił jeden z obecnych. – To przecie złoto!

Buck Duane i Jackrabbit Kid posuwali się o wiele szybciej, niż była w stanie hamowana ciężko załadowanymi wozami grupa Sama Kinga. Ogromny Strażnik i jego towarzysz osiągnęli płaskowyże co najmniej dwa dni przed małą armią najętą przez brata Jareda Kinga.

Jechali prosto do miasteczka Kingston¹, wyrosłego jako osada targowa dla kowbojów z Rancza Kinga oraz drobnych ranczerów i osadników z sąsiadujących z nim terenów. Nie było one duże, ale mogło się szczyścić oddziałem urzędu pocztowego, sklepem sprzedającym wszystko, „Salonem” z towarami przemysłowymi, stacją dyliżansów, pół tuzinem różnych przedsięwzięć, którym niezbyt się powodziło, jak też kilkoma szynkami.

Kilka mil przed miasteczkiem Duane i Kid rozdzielili się, jak to zaplanowali. Młodszy z nich objechał je szerokim łukiem i udał się

¹ *Kingston* – miejscowość wymyślona, w Teksasie jest miasteczko Kingston, ale w północno-wschodniej części tego stanu, daleko od San Antonio.



Z kieszeni brudnego płaszcza wyciągnął sakiewkę z jeleniej skóry,
a jej zawartość wysypał na podłogę.

prosto do głównej siedziby King's Crown. Obaj uzgodnili, że zatrudni się tam jako kowboj. Ponieważ ani Pecos Red, ani nikt z jego grupy nie znali Kida, będzie on mógł od środka śledzić ich działania.

Okazało się, że Kid został z miejsca zatrudniony, żeby zastąpić kowboja, który zginął w zasadzce. Slima Taylora uradowała możliwość zyskania kolejnego pracownika w jego zespole.

Natomiast Buck Duane skierował się prosto do miasteczka, w którym budynki o drewnianych szkieletach bezskutecznie starały się chronić przed narastającą mocą nadciągających późną jesienią z północy podmuchów wiatru. Na jedyną ulicę handlową wjechał dopiero tuż przed wieczorem. Zapadał już zmierzch, a nagie przed zimą gałęzie topól i dębów krzewiastych rosnących wzdłuż wąskiego strumienia, nad którym zbudowano miasteczko, na wietrze grzechotały w bezcelowym bębnieniu.

W uważających się za bardziej wytworne sklepach zapalono już lampy naftowe mające przyciągać klientów, ale do ich wnętrz wchodziło niewiele ludzi.

Duane bez większego trudu odszukał kuźnię połączoną ze stajnią do wynajęcia. W kowalskim palenisku żarzyły się tylko węgle, gdyż właściciel poszedł do domu na wczesną kolację, ale stajenny przyjął jego pieniądze i otworzył przedział dla Bulleta¹, wspaniałego wierzchowca Duane'a.

W miasteczku oczywiście nie było prawdziwego hotelu, ale stajenny powiedział, że na piętrze nad jednym z szynków są pokoje do wynajęcia.

– Nadadzą się, jeśli tylko nie jesteś pan za bardzo wymagający.

W zimowym chłdzie Duane doskonale wiedział, że nie mógł zbyt długo wybrzydzać na jakość dostępnych kwater. Zależało mu niemal wyłącznie na osłonie przed wiatrem i śniegiem. Siodło zostawił w stajni, ale przed pójściem do szynku przez ramię przewiesił swoje koce, na wypadek, gdyby w łózkach do wynajęcia zamieszkały przed nim owady.

Właściciel szynku, krępy Irlandczyk zwący się Thomas Ryan, ucieszył się, biorąc pieniądze jeźdźca.

¹ *Bullet* (ang.) – Pocisk.

– Wszystkie pokoje są teraz wolne – powiedział, podając Duane’owi klucz. – Ten jest najlepszy. Narożny od frontu, po pańskiej prawej stronie tuż za schodami. Pewnie zechce pan cosik zjeść.

– Największy stek, jaki możecie upiec – potwierdził Duane – i cały placek, jeśli jakiś macie. Może być każdy. Już długo jestem na szlaku.

– Mamy suszoną szarlotkę i pomodory¹ w puszcze – powiedział Ryan, dobrze rozumiejący występującą u przemierzających szlaki ochotę na owoce i zieleninę.

– Doskonale – rzekł Duane. – Zostawię swoje rzeczy w pokoju i zaraz zejść.

Pokój znalazł całkiem łatwo. Okazał się większy, niż oczekiwał i znacznie czystszy. Zapalił świecę i drobiazgowo sprawdził duże, mosiężne łóżko. Koce były niedawno prane. Obok łóżka stało proste krzesło, skrzynia z nieheblowanego drewna na rzeczy i umywalka z czarnego dębu. Stojący na niej duży porcelanowy dzbanek na wodę był pusty.

Kiedy właśnie Duane przekonał się o tym, zapukano do drzwi pokoju. Nadal miał na sobie długi wełniany płaszcz, ale odpiął dolne guziki, żeby w razie potrzeby móc sięgnąć po rewolwery w kaburze. Zanim poszedł otworzyć drzwi sprawdził, czy można je łatwo wyciągnąć.

W korytarzu stała kobieta otulona wielkim płaszczem, podobnym do noszonego przez Strażnika, ale z gołą głową. Była tak wysoka, że oczy miała niemal na wysokości jego oczu. Młoda, mocnej budowy i z dużym biustem, o niebieskich oczach i szerokich ustach, w każdej ręce trzymała kabłąk drewnianego cebra wypełnionego gorącą, parującą wodą.

– Dla znużonego drogą człowieka, żeby mógł się umyć – powiedziała, mijając Duane’a i wchodząc do pokoju. – Lokatorzy, żeby siebie obsłużyć, przeważnie korzystają z pompy na tyłach domu i kruszą lód w cebrze. Przyszło mi do głowy, że człowiekowi, który dopiero co przybył do miasta, potrzeba czegoś lepszego.

¹ *Pomodory* – w oryginale *termaters*, używana na południu Stanów Zjednoczonych wersja słowa *tomatoes*, pomidory.

– Masz bystry umysł – odrzekł Duane – oraz dorównujące mu dobrocią i żarem serce.

Kobieta obdarzyła go niewzruszonym spojrzeniem.

– Niech się pan nie rozpala żarem mojego serca – powiedziała. – Jestem siostrą Toma Ryana, właściciela tego domu, a nie jedną z tych kobiet z pogranicza, które pan sobie wyobraża.

Duane uśmiechnął się do niej.

– Nie to miałem na myśli. Chciałem jedynie powiedzieć, że tylko uprzejmej kobiecie przyszedłoby do głowy, aby przynieść aż tyle gorącej wody, zanim o nią poprosiłem. Zapewniam, że nie miałem niczego więcej na myśli.

Odpowiedziała wtedy uśmiechem na uśmiech.

– No jasne i sędzę, że rzeczywiście tak było, proszę więc wybaczyć ostrość mojego języka. Teraz widzę, że nie jest pan ani trochę bezrobotnym kowbojem, lecz dżentelmenem całą gębą.

Po postawieniu wciąż parujących wiader po męsku wyciągnęła do niego rękę.

– Nazywam się Molly Ryan i naprawdę ogromnie się cieszę, że mogę pana poznać. A kimże pan w istocie jest?

Duane przyjął jej dłoń w mocnym uścisku.

– Mów mi po prostu Buck. Ja również jestem bardzo zadowolony, że cię poznałem.

Przez chwilę myślał, że Molly zapyta o jego nazwisko. Było to dostrzegalne w jej spojrzeniu, ale zrezygnowała. Powiedziała tylko:

– Pójdę dopilnować, żeby posiłek jest gotowy, kiedy na niego zejdziesz.

Po wyjściu kobiety Duane zdjął całe ubranie i nagi starannie obmył się gąbką, co niezmiernie go odświeżyło. Ubierając się przed zejściem na posiłek swój płaszcz zostawił na mosiężnej szafce nocnej. Nałożył na siebie dwie pary skarpet – jedną bawełnianą i jedną wełnianą – a na nie kowbojskie buty na wysokim obcasie, jak też kalessony z czerwonej flaneli, wełniane spodnie i koszulę oraz starą wełnianą marynarkę. Gardło otoczył wielką niebieską chustką. Zabrał z sobą tylko rewolwer noszony z prawej strony, przywiązany do nogi. Drugi

i strzelbę zostawił mocno owinięte kocami. Podczas pokonywania szlaku urosły mu dość długie włosy, ale w miarę możliwości jak najmocniej zaczesał je do tyłu.

Tak odziany Duane mógł być każdym, od wyczerpanego drogą bogatego człowieka do hazardzisty lub podróżującego fachowca. Ubrał się tak umyślnie. Wypełniając swe zadania nie chciał uchodzić za szukającego pracy kowboja.

Robiło się już ciemno, kiedy jeszcze raz wkroczył do szynku, chociaż według zegara nie był to wieczór, a raczej późne popołudnie. W środku znajdował się tylko jeden klient, jeździec w wysokich butach, przy szynkwasiu rozmawiający z Ryanem.

Buck Duane usiadł przy jednym ze stojących w sali małych stolików. Niemal natychmiast z kuchni wyłoniła się Molly Ryan, przynosząc mu świecę i duży kubek parującej kawy. Po kilku minutach pojawiła się ponownie z wielkim półmiskiem z niebiesko-białej porcelany, na którym leżał dwufuntowy stek, sześć smażonych jajek i tuzin gorących bułeczek prosto z pieca. Dołączyła do bułeczek jeszcze masło i syrop trzcinowy oraz przystawkę w postaci puszki pomidorów.

Duane zabrał się do tego wszystkiego jak głodny człowiek, którym też był. Kiedy ostatnią bułeczką wytarł z półmiska resztkę płam smakowitego sosu ze steku i żółtka jajka, Molly pojawiła się ponownie. Tym razem przyniosła całą suszoną szarlotkę, wciąż dymiącą na blasze do pieczenia oraz dzbanek z płynem, którym okazało się zimne mleko. Po położeniu wszystkiego na stoliku nie odeszła jak wcześniej, lecz przyciągnęła inne krzesło i usiadła naprzeciwko Strażnika.

– Nie przeszkadzam ci? – zapytała.

– No oczywiście, że nie przeszkadzasz – odpowiedział Buck Duane. – Rad jestem z twojego towarzystwa.

Molly patrzyła, jak rozprawił się z ciastem i mlekiem. Z górnej kieszki marynarki wyjął długie cygaro. Dziewczyna skinęła głową zgadzając się, żeby zapalił, a wtedy do koniuszka cheroota przytknął płomień świecy.

– Nie przeszkadza mi powiedzenie – zwrócił się do Molly – że ten obiad należy do najlepszych i najsmaczniejszych, jakie w życiu zja-

dłem. Dla człowieka, który przebył tak długi szlak, nie może być nic lepszego.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– No, dziękuję – powiedziała. – A czy zostaniesz tutaj, żeby móc zjeść ich więcej?

– Może i zostanę – odparł Duane. – Jest już zbyt blisko zimy, żeby jechać na północ, a ponadto szukam miejsca, w którym mógłbym się na jakiś czas zatrzymać. To znaczy, jeśli znajdę jakieś odpowiadające człowiekowi mojego pokroju zajęcie.

Dostrzegł, że wzbudził ciekawość Molly, a jednocześnie starała się ona nie okazywać, do jak wielkiego stopnia. Duane chciał właśnie to osiągnąć. Gdyby zdołał skłonić dziewczynę do mówienia, mógłby poznać wiele użytecznych rzeczy. Przecież prawdopodobnie wiedziała wszystko to samo, co jej brat, – a właściciel szynku w tego rodzaju mieście był zazwyczaj najlepiej poinformowanym jego mieszkańcem.

– Czy mogę postawić ci coś do picia? – zapytał Molly.

– Tylko piwo – odpowiedziała. – Nie jestem dziewczyną naciągającą na trunki. Czy już tego kiedyś nie mówiłam?

– Mówiłaś – Duane potwierdził z uśmiechem. – Mnie też odpowiada piwo.

Poszła za szynkwias i wróciła z dwoma wysokimi, pokrytymi pianą kufkami. Jej nadal pogrążony w rozmowie brat pozwolił, aby sama nalała dla siebie piwo. Nie pojawili się jeszcze żadni inni goście.

Zaraz po usiądnięciu Molly powiedziała:

– Właśnie miałeś mi rzec, co masz do załatwienia w Kingston.

Odrzucił głowę do tyłu i nad cygarem oraz piwem wybuchnął śmiechem w jej stronę.

– Młoda damo – napomniął dziewczynę – nie miałem rzec nic takiego, i dobrze o tym wiesz. Czy jesteś nowa w tej części stanu Teksas, skoro nieznanemu bez ogródek zadajesz pytania?

– Wiem – odpowiedziała Molly. – Ludzie tutaj nie zadają pytań. Nie chodziło mi o pytania tego rodzaju, nie o taki, który mógłby komukolwiek zaszkodzić. To znaczy wyglądasz na porządnego człowieka i wspomniłeś o osiedleniu się tutaj. Przecież wspomniłeś, prawda?

– Następne pytanie – stwierdził Buck Duane, a potem roześmiał się na widok jej miny. – W porządku. Coś takiego mogło mi się wymknąć, ale taka myśl tylko błysnęła w mojej głowie. Jedyne myśl. Wjechałem tutaj zaledwie kilka godzin temu.

– Tyle wiem – powiedziała Molly. – Lecz nie potrzeba wcale mądrej kobiety, żeby dostrzec, jakiego niezwykłego rodzaju człowiekiem jesteś. Choćby po samym twoim zachowaniu. Jest podobne do starego Kinga na ranczu.

– Króla? – zapytał Duane, chcąc skłonić ją do mówienia.

– Nie, pana Jareda Kinga. Właściciela posiadłości ziemskiej King's Crown i pięknego, wspaniałego stada, które wyhodował. No wiesz, nie chodzi o to, że jesteś do niego podobny. Najwyżej w sposobie, w jaki chodzisz i w jaki trzymasz głowę, gdy siedzisz. Człowiek podobny do ciebie potrafi w kraju wywołać fale, jak wielki kamień wrzucony do stawu.

– Co byłoby w tym złego?

– Mogłoby być, panie Buck. Na pewno mogłoby. A to dlatego, że tego stawu pan nie zna. Zimą każdego roku jest tutaj tak, jakby wszystko zastygło. Jakby staw pokrył cienki lód. Dostatecznie wielki kamień mógłby wywołać tu wokół niego coś więcej, niż tylko fale. Mógłby wszystko zmiażdżyć.

– Zaczynam to widzieć – powiedział Buck Duane. – A może nawet w drodze tutaj dochodziły mnie szeptki o kłopotach. W każdym jednak razie nie musisz się o mnie martwić, panno Molly. Potrafię się o siebie troszczyć.

– Widzę to po sposobie, w jaki nosisz rewolwer – przytaknęła. – Gdybyś jednak się tutaj zatrzymał na stałe, mógłbyś znaleźć się pomiędzy dwiema bandami pełnych gniewu ludzi. Wtedy choćby dla własnego bezpieczeństwa, jeśli nie z innych powodów, musiałbyś wybrać stronę, którą popierasz.

Duane pociągnął mały łyk piwa.

– A gdybym tak uczynił...

– Wobec tego przychodzi mi na myśl – powiedziała, raz jeszcze rzucając mu badawcze, czujne spojrzenie – że dla strony, którą wybie-

rzesz, mógłbyś okazać się bardzo silnym wsparciem w walce. Dla wielu biedaków byłoby to ogromnie cenne. Strona, którą wybierzesz ze względu tylko na siebie, może być sprawą życia i śmierci dla ludzi, których nawet nie znasz.

– Powiedz mi jedno, Molly. Jeżeli zechcę wybrać stronę, to którą wolałabyś dla mnie? – zapytał Duane.

– Wybierzesz całkowicie samodzielnie – odparła. – Taki mężczyzna jak ty nie będzie się powodował słowami kobiety. Poza tym nie ja mam wypowiedzieć te słowa. Oto nadchodzi ten, który je wypowie.

W tej chwili jej brat ze swym jedynym gościem opuścili szynkwę i podeszli do stolika, przy którym siedzieli Molly i Buck Duane, przyglądający się im obojętnie.

Towarzyszący Tomowi Ryanowi mężczyzna był krępy i wyglądający na opanowanego. Średniego wzrostu, w średnim wieku, mocno zbudowany, miał szczerą twarz i przyjacielskie spojrzenie. Nosił ciepłe, grube ubranie drobnego ranczera, a na prawym boku rewolwer. Duane spostrzegł, że kabura wyglądała na nową, a idący mężczyzna lekko utykał na prawą nogę, jakby rzadko kiedy uzbierał się w ten sposób i jeszcze nie przywykł do dotyku i ciężaru broni.

– Panie Buck? – rzekł właściciel szynku i zatrzymał się przy stoliku Duane’a.

– Wystarczy Buck – powiedział Duane. – Czy zechcą panowie napić się ze mną piwa?

– Piwo na koszt lokalu – rzekł Ryan. – Obecny tu pan Wills chciałby zamienić z tobą słówko, oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Co jasne, bez żadnej urazy. Wszystko przez te ciężkie czasy w małym kraiku, a ty jesteś w nim obcy, rozumiesz?

– Coś w tym rodzaju mówiła mi panna Molly – odparł Duane. – Czy w tym mieście obcy są aż tak bardzo ważni, panie Wills?

– Jim Wills – przedstawił się ranczer. – Mów mi Jim. Nie, nie zawsze są ważni, ale jak już mówiłem, czasy są ciężkie. Pozwól, Bucku, na zadanie ci jedno pytania. Czy twój przyjazd tutaj opłacił Jared King?

– Nikt go nie opłacił – odpowiedział spokojnie wysoki Strażnik. – Nie jestem człowiekiem nikogo, wyłącznie siebie samego. Nie znaczę

to, że nie nająłbym się u twojego Jareda Kinga, gdyby mi to pasowało, ale nie przyjechałem jako czyjkolwiek człowiek.

– Ach tak – rzucił Ryan – a czy mogę zapytać, czym dokładnie się zajmujesz?

– Nie możesz, panie Ryan – odpowiedział Duane. – Zajmuję się wszystkim, co tylko mi się spodoba. Mogę choćby szukać małego rancza do kupienia. No oczywiście tylko mówię, że mogę.

Dwaj mężczyźni po drugiej stronie stołu wymienili spojrzenia.

– A dlaczego miałbyś oczekiwać, że takie ranczo znajdziesz tutaj? – zapytał Tom Ryan.

Buck Duane obu obdarzył uśmiechem.

– Tylko powiedziałem, że mogę je szukać – odrzekł. – Szczęście trochę uśmiechnęło się do mnie, że tak powiem, a człowiek lubi myśleć o osiednięciu gdzieś na stałe.

– I King cię nie najął? – napierała nań Molly.

– Zamilcz, kobieto! – napomniął ją brat. – Słyszałaś, że Buck temu zaprzeczył.

– Nigdy nie rozmawiałem z żadnym człowiekiem Kinga – powiedział szczerze Duane. – Gdybyście jednak byli zainteresowani, to minąłem ich czeredkę na drodze z San Antone.

Po spojrzeniach, jakie wymienili obaj mężczyźni rozpoznał, że jego słowa ich zaskoczyły.

– Domyślam się, że masz na myśli Sama Kinga i wozy z zaopatrzeniem na zimę? – zapytał Wills.

– Sama Kinga nie znam. Tak, widziałem wozy – i konie z piętnem King's Crown. Woźniców i młodą kobietę. Dobrze ubranego starszego mężczyznę i wielu jeźdźców.

– A czy powiedziałaś, że ci jeźdźcy byli kowbojami z rancza? – zapytał Ryan. – Wybacz mi proszę, ale to ważne.

Strażnik postanowił, że ponownie będzie z tymi ludźmi szczerzy.

– Och nie. Byli paskudną zbieraniną i jeśli chcecie poznać prawdę, to bardziej przypominali bandytów. Zapamiętałem ich, bo zdziwił mnie widok takich ludzi jadących wraz z wozami Kinga. Pomyślałem, że naprawdę musi mu brakować ludzi.

– Och, Boże, rewolwerowcy! – powiedział Wills i walnął dłonią w blat stołu. – Ten przeklęty Jud miał jednak rację. Teraz zrobimy, co zrobimy.

– Trzymaj język za zębami – napomniął go Ryan. – Bucka ani trochę to nie interesuje.

– Zainteresuje – powiedział Jim Wills i ponownie walnął ręką w stół. – Jak każdego mężczyznę i każdą kobietę w tym kraju.

– Chodź – ponaglił go Ryan.

Obaj opuścili stół, a po chwili Molly poszła za nimi. Duane przez godzinę sam pił piwo, a następnie udał się do łóżka.

Pomimo pogody, która utrzymywała się chłodna i wietrzna. Buck Duane następne dwa dni spędził na jeździe na Bullecie po prerii ciągnącej się za miasteczkiem Kingston, zataczając wielkie, sprawiające wrażenie całkowicie przypadkowych kręgi i pętle. Groźne mrozy zimy nie pojawią się przed nastaniem nowego roku, ale olbrzymi Strażnik obawiał się, że z kanadyjskiej tundry nadciągnie wielka zamieć śnieżna.

Przestrzegało go wycucie zmian pogody, wyostrzone przez lata spędzone na szlaku wyjętych spod prawa, podczas których samo pozostanie przy życiu zależało często od umiejętności „wyniuchania” burzy i znalezienia lub sporządzenie sobie schronienia przed jej nadejściem. Zapowiadał się rok z jedną z owych wczesnych burz, które niekiedy pozostawiają po sobie głębokie pokrywy mokrego, ciężkiego śniegu. Nadejście takiej burzy ogromnie utrudniłoby poruszanie się po prerii.

Duane pragnął nabrać orientacji w terenie i poznać okolicę, zanim nadciągnie niepogoda. Wykonanie jego zadania – a nawet przeżycie – mogło zależeć od tego, czy odnajdzie właściwą drogę.

To, co każdy przyglądający się temu mógłby błędnie uznać za jazdę bez żadnego celu, dla ogromnego byłego banity ani trochę taką nie było. Dostrzegał i zapisywał w pamięci najbardziej istotne cechy pozornie bezkresnej prerii. Uczył się przebiegu rzadkich tam strumyków, ukształtowania i kierunków dolin i wąwozów. Uważnie oglądał i zapamiętywał sylwetki każdego niskiego wzgórzka i wzniesienia, ich po-

łożenie i powiązania wszystkich z występującymi wokół nich źródłami i kępami drzew.

Nieomal nieuważnie wykrywał dymy i tropy koni, aby rozpoznać domy darniarzy i drobnych hodowców bydła, notował piętna i stan mijanych krów. Starał się zostawiać możliwie jak najmniej „oznak” swoich przejazdów, ale już po południu pierwszego dnia nabrał pewności, że jest śledzony.

Zwykły jeździec nigdy by nie wykrył tropiących go ludzi, ale Buck Duane nie był zwykłym człowiekiem. Niczym Apacz¹ był w stanie wyczuwać ludzi, którzy posuwali się po jego śladach.

Na razie nie dawał po niczym poznać, że wie o ich obecności. Pozwalał im jeździć za sobą, skoro mieli taką ochotę. Niczego przydatnego dla siebie nie dowiedzą się z jego postępowania, dlatego prędzej czy później przyślą Jima Willsa lub kogoś takiego jak on, żeby znowu zadawał mu pytania.

Duane miał pewność, że śledził go mały odłam hodowców bydła. W takim wielkim majątku jak Kinga samotny jeździec nikogo by nie zaciekawiał – oczywiście pod warunkiem, że nie wiedzieliby, kim on jest. Strażnik nie wątpił zaś, że nie wiedzieli.

Wczesnym popołudniem drugiego dnia Buck Duane po raz pierwszy zobaczył słynne stado King's Own, będące wynikiem umyślnego krzyżowania ras bydła mięsnego. Inaczej niż pozostałym krowom należącym do Kinga, tym nie pozwalano poruszać się swobodnie po rozległych obszarach prerii.

Stado King's Own wypasano na najlepszej trawie nad King's Creek, spływającym długą doliną leżącą na zachód od domostwa ranczera. Dniem i nocą było pilnowane przez specjalną grupę kowbojów, których w stałych odstępach czasu, w nocy i w dzień, zastępowali nowi ludzie, przyjeżdżający z głównych czworaków, gdzie nocowali.

Szczegół ten Duane poznał z pogawędki, jakie odbywał w miasteczku. Zauważył z ciekawością, że jego mieszkańcy byli mniej wię-

¹ *Apacze* – zespół grup etnicznych Indian Ameryki Północnej, spokrewnionych prawdopodobnie z Atabaskami, dawniej koczownicy, myśliwi, obecnie rolnicy i hodowcy w rezerwach Nowego Meksyku i Arizony.

cej równo podzieleni na odczuwających dumę z „naszej rasy” i na zawistnych nienawistników mówiących: „Tamte krowy zrujniają wszystkich małych ranczerów w tym stanie. Na ich hodowlę mogą sobie pozwolić wyłącznie wielcy królowie bydła, a kiedy staną się liczne, zwykła krowa nie będzie już warta nawet skóry i łożu z niej”.

Strażnik pojął wówczas, dlaczego ktoś mógłby przyjąć, że warto napaść na owe cenne stado. Sam nie miał trudności z natrafieniem na nie. Trzymał się z dala od krów, pozostając za krawędzią doliny, tak iż pasterze nie mogli go zauważyć, i aby dobrze widzieć pasące się bydło, korzystał ze specjalnej lornetki wyrobu niemieckiego, będącą jedną z najcenniejszych posiadanych przezeń rzeczy.

„Mój Boże – pomyślał. – Nic dziwnego, że ludzie zechcą walczyć o to bydło”.

Tworzyły je wielkie, ciężkie krowy, nadal tłuste i o błyszczącej na bokach sierści, pozostałości letniego wypasu. Każda musiała ważyć niemal dwa razy więcej niż longhorny, które Duane znał od dzieciństwa. Same byki rozplodowe spowodowały, że z ust olbrzyma wyrwał się gwizd wielkiego podziwu. W całym swoim życiu nie widział on równie wspaniałych zwierząt.

– Naprawdę są królami – powiedział cicho do siebie. – Posiadający owe bestie jest królem bydła w całym tym kraju, bez najmniejszej przesady.

Przez chwilę czuł dla Jareda Kinga jeszcze większy szacunek. Człowiek posiadający na tyle zdolności przewidywania i dostrzegania celu, aby wpaść na myśl o takim stadzie i je wyhodować, naprawdę zasługiwał na szacunek.

Duane włożył lornetkę do skórzanego futerału i przeszedł kilka prętów¹ do miejsca, w którym zostawił Bulleta stojącego prawie na wierzchołku wzgórza o łagodnych stokach. Po drodze dostrzegł krótki błysk wywołany ruchem trawy rosnącej na innym wzniesieniu, odległym o prawie pół mili. Ktoś obserwował go nawet wtedy, kiedy przez szkła przyglądał się krowom.

¹ *Pręt* – dawna miara długości; pręt anglosaski (*rod*) liczy 5,5 jarda (16,5 stóp), czyli 5,03 metra.

Strażnik dosiadł Bulleta i oddalił się na wielkim koniu, wykonując długą pętlę z tyłu za miejscem, z którego go śledzono. Szpieg, kimkolwiek był, okazał się zbyt szybki, żeby dać się zaskoczyć. Duane znalazł jego ślady, nic więcej. Tamten człowiek jeździł na małym mustangu, niepodkutym, jak indiański kucyk. Nie był jednak Indianinem.

Duane znalazł na ziemi odcisk obcasa buta w miejscu, w którym śledzący go zsiadł z konia. Obcas był mocno starty od długiego używania, a wystające z niego żelazne gwoździe utworzyły w glebie charakterystyczny wzór, który Strażnik z łatwością rozpozna, gdy zobaczy go znowu.

Nie próbował pojechać tropem. Zbliżał się zmierzch, a nawet Buck Duane nie znalazłby po ciemku śladów zostawianych na twardym gruncie. Poza tym jeszcze groziłoby mu wpadnięcie w zasadzkę. Ponadto miał wyznaczone spotkanie, na które chciał się stawić, dlatego powrócił do miasta.

Zgodnie z tym, jak się umówili, zanim rozstali się za miastem, Jackrabbita Kida zastał w stajni, gdzie dla swojego konia kupował nową uzdę.

– Ani trochę nie przyjechaliśmy tu za wcześnie – oznajmił Kid swojemu ogromnemu przyjacielowi. – Oddział wojenny z San Antone na ranczu oczekiwany jest jutro lub pojutrze. Pracownicy są cali w nerwach. Gadają, że Sam King, brat starego Jareda, sprowadzi rewolwerowców mających oczyścić ten kraj. Nie wszystkim z nich to się podoba. Są kowbojami, a nie zabójcami, i obawiają się, że niektórzy z nich także zginą. Dlatego też uważają, że trzeba coś zrobić. Nie będą się mogli uchronić przed dalszymi strzałami do nich oddanymi z zasadzki. Diabli nas wezmą, jeżeli popatrzymy na to w ten sposób, i wezmą również, jeżeli nie popatrzymy.

– Mieszkańcy miasteczka też nie chcą wojny – stwierdził Duane. – Uważają, że w takiej zwadzie nikt nie odniesie zwycięstwa, i jedynie bardzo zaszkodzi ona interesom.

– Myślę, że tak samo patrzy na to Jared King – powiedział Kid. – Wszyscy wiedzą, że gdy chodzi o jego stado, jest strachliwy jak głod-

ny lobo. Ma kowbojów pilnujących go w dzień i w noc. Mówią, że wolałby uniknąć walki, gdyby nie został do niej zmuszony.

– Nikt jej nie chce, ale jest przez wszystkich spodziewana – potwierdził Duane. – W ten właśnie sposób rodzą się kłopoty z walczącymi z sobą kogutami, psami i ludźmi. Obie strony krążą wokół siebie na sztywnych nogach, pragnąc pokoju i łaknąc krwi. Przybycie tu Pecosa Reda będzie jak zapalenie lontu bomby.

– Niech ci będzie, Buck. Co zrobimy?

– Możemy zrobić tylko jedno – odpowiedział Duane. – Gdyby to była bomba, wyciągnąłbym lont. Skoro zaś chodzi o ludzi, trzeba znaleźć przewodyrów i wyciągnąć z nich lont. Jednym z nich może być Pecos. Jest też kilku darniarzy, których obwinia się o zastawianie zasadzek. Ich też mam na swojej liście. Już samo to będzie wystarczająco trudne, ale to jeszcze nie wszystko.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że owa lista jest niepełna. Istnieje jeszcze jeden człowiek, i to według mnie najważniejszy ze wszystkich. Taki, który od samego początku roznieca ogień całej wojny. Kapitan MacNelly mówił, że ktoś działa za kulisami, ale nie wiedział kto. Myślałem, że może nim być Jared King, ale z tego, co mówisz, nie jest. Mógłby być nim i Jud Ballew, zastawiający zasadzki, ale nie sądzę, żeby miał dość rozumu. Jest dostatecznie podły, ale brak mu rozumu. Mimo wszystko chciałbym się z nim spotkać.

– A wtedy...? – zapytał Kid.

– Wtedy będzie mógł rzucić karty i spasować albo sięgnąć po broń.

Po zostawieniu Jackrabbita Kida w stajni wracający do swego pokoju nad szynkiem Ryana Buck Duane zauważył, że ulice Kingston były wyjątkowo zatłoczone. Przy słupach konowiazów¹ stały konie i kilka wozów, w niektórych sklepach paliły się światła, a z samego szynku dobiegał głośny gwar męskich głosów.

Oczywiście był wtedy sobotni wieczór. Osadnicy i drobni rancherzy przyjeżdżali z żonami do miasta, aby kupić zapasy żywności

¹ *Konowiaz* – urządzenie w postaci poziomej belki służące do przywiązywania koni.

i inne rzeczy. Parobkowie z majątków – a przynajmniej z tych dostatecznie dużych, żeby zatrudniać kowbojów – szukali w Kingston jakiegokolwiek rozrywki, które mogło im ono zapewnić. W sobotni wieczór na pograniczu działy się zwykle takie rzeczy.

Oprócz normalnego sobotniego zgiełku było jednak coś więcej. Duane zbyt wiele lat przeżył dzięki poleganiu na rozumie i instynkcie, żeby nie dostrzegać, kiedy w powietrzu pojawiało się dodatkowe napięcie. Potrafił niemalże wyczuwać nosem nastrój miasta i przebywających w nim ludzi.

Owej zimowej nocy w Kingston panowały niezbyt dobre nastroje. W powietrzu wykrywalne było podniecenie i gniew, ale także napięcie i strach.

Jedną z oznak tego był tłum w drugim szynku w mieście. To miejsce o złej reputacji nazywano beczkownią, ponieważ podawane w nim pałace jak ogień trunki – mieszaniny nieoczyszczonego spirytusu z dającym kolor sokiem tytoniowym, rozwodnionej w stopniu, jaki ośmielał się osiągnąć właściciel – nie były nalewane z butelek, lecz z beczki ustawionej na deskach leżących w poprzek dwóch kozłów. Nosiło ono nazwę Lew's Place i mieszkańcy Kingston poważnie omijali je z daleka. Tego wieczora w środku tłoczyli się wyglądający na nieokrzesanych i głośno rozmawiający mężczyźni. Mijając drzwi szynku Duane usłyszał dobiegające ze środka gniewne głosy.

Lokal Ryana też był zatłoczony. Przy szynkwasiu o tej porze późnego popołudnia stało zwykle trzech lub czterech pijących, lecz kiedy Duane wszedł do środka, było ich co najmniej dwudziestu. Strażnik poszedł do swojego pokoju i został w nim jedynie na czas wystarczający, żeby się umyć, zrzucić płaszcz i przypiąć do pasa drugi duży rewolwer kalibru .45. W taki wieczór tylko głupiec wychodziłby na miasto nieuzbrojony.

Po zejściu do baru na parterze Duane zajął swój zwykły stolik, siedząc plecami do ściany i mając dobry widok na wielką izbę i znajdujących się w niej ludzi. Goście lokalu Ryana byli bez porównania lepsi od mężczyzn, których widział u Lewa. Składali się na nich kupcy i przedsiębiorcy z małego miasteczka. Stojący przy szynkwasiu kow-

boje byli w większości godnymi zaufania, budzącymi szacunek mężczyznami. Wśród nich znajdował się Jim Wills.

Goście skupiali się w zwarte grupki, rozmawiając z zapałem i ożywieniem. Pili głównie whisky i na pewno wraz z upływem wieczora ich wzburzenie będzie tylko wzrastało.

Kiedy Molly Ryan jak zwykle przyniosła Duane'owi stek z dodatkami, ten bez trudu dostrzegł, że kobieta jest wyraźnie chętna do rozmowy. Nie trzeba było jej powtarzać zaproszenia do usiądnięcia przy jego stoliku.

– Molly, co się dzisiaj dzieje? – zapytał Strażnik. – Poruszenie w miasteczku wygląda na dużo większe niż zazwyczaj.

– Możesz się założyć o swoje życie, że takie właśnie jest – odpowiedziała Molly. – Około południa dotarła wieść, że zauważono Sama Kinga i jego oddział. Zjawią się tu jutro lub najpóźniej pojutrze rano.

– Och!

– Możesz tu sobie siedzieć i chrząkać, Buck. Dla nas wszystkich nie jest to równie proste. Stary Sam sprowadza istną armię. Mówią, że tworzą ją zawodowi rewolwerowcy z San Antonio. Jest ich wystarczająco dużo, żeby nas wszystkich zabić, jeśli im na to pozwolimy.

– Kto to wszystko powiedział, Molly? I skąd możesz być taka pewna? Któż taki wysłedził grupę, która jedynie dostarcza zaopatrzenie na wielkie ranczo?

– Powiem ci, kto – powiedziała wzburzona. – Stowarzyszenie Ranczerów Zachodniego Teksasu, nikt inny. Jego członkowie obserwują drogi odkąd tylko przybyła wieść, że Jared King wynajął ludzi mających nas wystrzelać.

– Czy to oni śledzą i mnie? – zapytał Duane.

Molly wyglądała na zaskoczoną.

– Och, Bucku, mam nadzieję, że nie. Oznaczałoby to, że podejrzewają cię o bycie człowiekiem Kinga. A nim nie jesteś, prawda?

– Jestem człowiekiem tylko siebie – odpowiedział Duane. – Nie martw się o to.

– Rada jestem, że tak mówisz, Bucku. Gdyby uznali cię za przyjaciela Kinga, groziłoby ci niebezpieczeństwo.

Właśnie w tej chwili także Tom Ryan podszedł do stolika.

– Zajmij się barem, Molly – nakazał, a potem dość grzecznie dodał: – Jeśli szanowny pan nie ma nic przeciwko temu, kilku z nas chciałoby z tobą spokojnie porozmawiać w kantorku.

Następnie, widząc, że Buck Duane się waha, Ryan powiedział:

– To może być ważne.

Duane wstał i z półmiska wziął zjedzony w połowie stek.

– Wobec tego chodźmy. Tylko zabiorę to ze sobą i zjem tam do końca.

W kantorku Ryana, znajdującym się za barem, Strażnik zastał czekającego na nich Jima Willsa.

– Od razu przejdę do rzeczy – powiedział ranczer. – Sam wiesz, żeś do naszego miasta przybył w strasznie trudnym czasie. Musiałeś się też już dowiedzieć, że gada się o wojnie między majątkiem King’s Crown a resztą nas.

– Słyszałem o tym – potwierdził Duane – ale nie bardzo wiem, dlaczego ma do niej dojść.

– To dlatego, że tu nie mieszkasz – powiedział Ryan. – Jak byś się czuł, gdyby zabójcy napadali na ciebie?

– A dlaczego przyjeżdżają? – zapytał Strażnik. – Czy nie dlatego, że najpierw byli zabijani ludzie Kinga? Kto jest za to odpowiedzialny?

– Czy jesteś człowiekiem Kinga? – wybuchnął Ryan.

– No pewnie, że nie jest – powiedział Jim Wills. – Panie, sam chciałbym wiedzieć, kto zaczął owo zabijanie. Możebnie Jud Ballew, ale nikt nigdy tego nie powiedział. Ino nie tylko w tym rzecz. Znasz stado, które hoduje King. Owe bydło jest piękne, wielce piękne. Wiem o tym, ale kiedy narodzi się go tyle, żeby wysyłać je szlakami na północ, co stanie się z resztą z nas? Kto kupi moje preriowe krowy, skoro będzie mógł dostać wołowinę od Kinga? Właśnie to mnie trapi.

– A ja myślę – stwierdził Duane – że ty też możesz krzyżować swoje krowy. Kup stado rozplodowe. Widziałem to bydło. Za dwadzieścia lat w każdym majątku w tym stanie będzie go trochę.

– Wiem – przyznał Wills. – Ino co takowi ludzie jak ja mają robić przez owe dwadzieścia lat? Wcześniej stan będzie już należał do Kingów i innych wielkich ranczerów.

– Wracaj do rzeczy, człowieku – napomniał go Ryan. – Musimy myśleć o najbliższych dwudziestu dniach, a nie o dwudziestu latach. Sprowadziliśmy tu Bucka, żeby go o coś zapytać. Weź się do tego.

– Będę mówił krótko – zapowiedział Wills. – Nie sądzimy, Buck, żebyś był człowiekiem Kinga. Widzimy, jako nosisz one rewolwery i myślimy, że potrafisz się nimi posługiwać. Jeśli dojdzie do walki, to chcemy, żebyś był wtedy z nami.

– Jestem tylko z sobą – odrzekł Duane.

– Jeżeli uważasz, że cała ta sprawa to nie twój interes – powiedział Wills – możemy ci zapłacić. Jud Ballew ma złoto. Potrzebujemy każdego rewolwerowca, którego ino możemy zdobyć, i potrafimy sprawić, że dobrze na sprawie zarobisz.

– Nie jestem rewolwerowcem do wynajęcia – odparł Strażnik. – Nie wiem po prostu, dlaczego miałbym wybierać którąś stronę. Wiedz, że nie jestem przeciwko wam. Nie jestem opłacany przez Kinga.

– Panie – powiedział Wills. – Jesteśmy w diabelnie ciężkiej kabbale. Potrzebujemy każdego człowieka, jakiego ino możemy zdobyć. A może myślisz, żeśmy skazani na przegranie, a zatem po co narażać się walcząc z nami? Nie bądź zbyt tego pewny. Może i z nas ino mieszczuchy i kowboje, ale wszyscyśmy bojowali w wojnie secesyjnej. Dlatego zanim nas wybiją do nogi, będziemy walczyli.

– Wiem, że będziecie – zapewnił go Duane. – Nie w tym rzecz.

– No to w czym?

– Jest kilka pytań, na które chciałbym poznać odpowiedź, zanim wyruszę na ścieżkę wojenną – powiedział Duane. – I to bardzo. Chciałbym wiedzieć, kto kogo skłonił do zabijania. Chciałbym wiedzieć, czego próbowano, żeby powstrzymać wojnę... i kto pragnie, aby ta wybuchła. A przede wszystkim chciałbym wiedzieć, skąd tacy jak Jud Ballew dostają złoto, żeby kupić takiego człowieka jak ja, i do czego dokładnie chce mnie kupić.

W izbie zapadła ciężka cisza – tak ciężka, że przykucnięci za oknem podsłuchujący podnieśli się nieco, żeby zerknąć przez szparę przy okiennicy i upewnić się, że trzech mężczyźni wciąż w niej są.

– O Boże – odezwał się w końcu Jim Wills – Nigdy żem nie myślał o tym w takowy sposób. Pewnikiem zbyt żem był zajęty martwieniem się o nas.

– Lepiej, żebyś tak pomyślał – powiedział Duane. – Kto na tyle mocno nienawidzi Jareda Kinga i jego stado, żeby z tego powodu narażać wasze życie?

– Chcesz rzec, że ktoś jeszcze podjudza do tej walki? – zapytał Wills. – Lepiej pogadam o tym z chłopcami.

Okazji po temu nigdy nie już nie otrzymał.

Strzał z zewnątrz roztrząsał szybę w oknie, a ciężka kula trafiła Jima Willsa w prawe ramię na tyle mocno, że z krzesła zrzuciła go na podłogę.

Ryan ryknął i zerwał się na równe nogi.

Człowiek z zewnątrz zaczął z czterdziestką piątką przeciskać się przez okno. W cieniu w środku niewiele widział, ale i tak strzelił.

Buck Duane zamaszystym uderzeniem wielkiej lewej ręki zgasił stojącą na biurku świecę. Prawą dłonią wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę i skoczył do drzwi prowadzących do zaułku za szynkiem.

Okazały się zamknięte. Duane uniósł nogę i kopnięciem wyłąmał zamek tkwiący w cienkiej desce. Potem skoczył szczupakiem przez utworzone tak przejście, całą długością lądując na śniegu. Nad nim ciemna postać w oknie okręciła się i oddała strzał przez otwarte drzwi. Drugi mężczyzna za nim poszukał susem osłony za rogiem jednej z szop stojących za szynkiem.

Nawet leżąc na brzuchu i strzelając instynktownie w ciemność, wielki Strażnik pozostawał zabójczy. Pierwszym strzałem trafił w człowieka przy oknie. Kula ugodziła w jego tułów. Mężczyzna stracił równowagę i upadł, umierając, zanim jeszcze uderzył o ziemię.

Do drugiego Duane strzelił bez litości, zanim ten zdążył sięgnąć po broń. Tkwiący w tyle trzeci napastnik rzucił się do ucieczki. Walka się zakończyła.

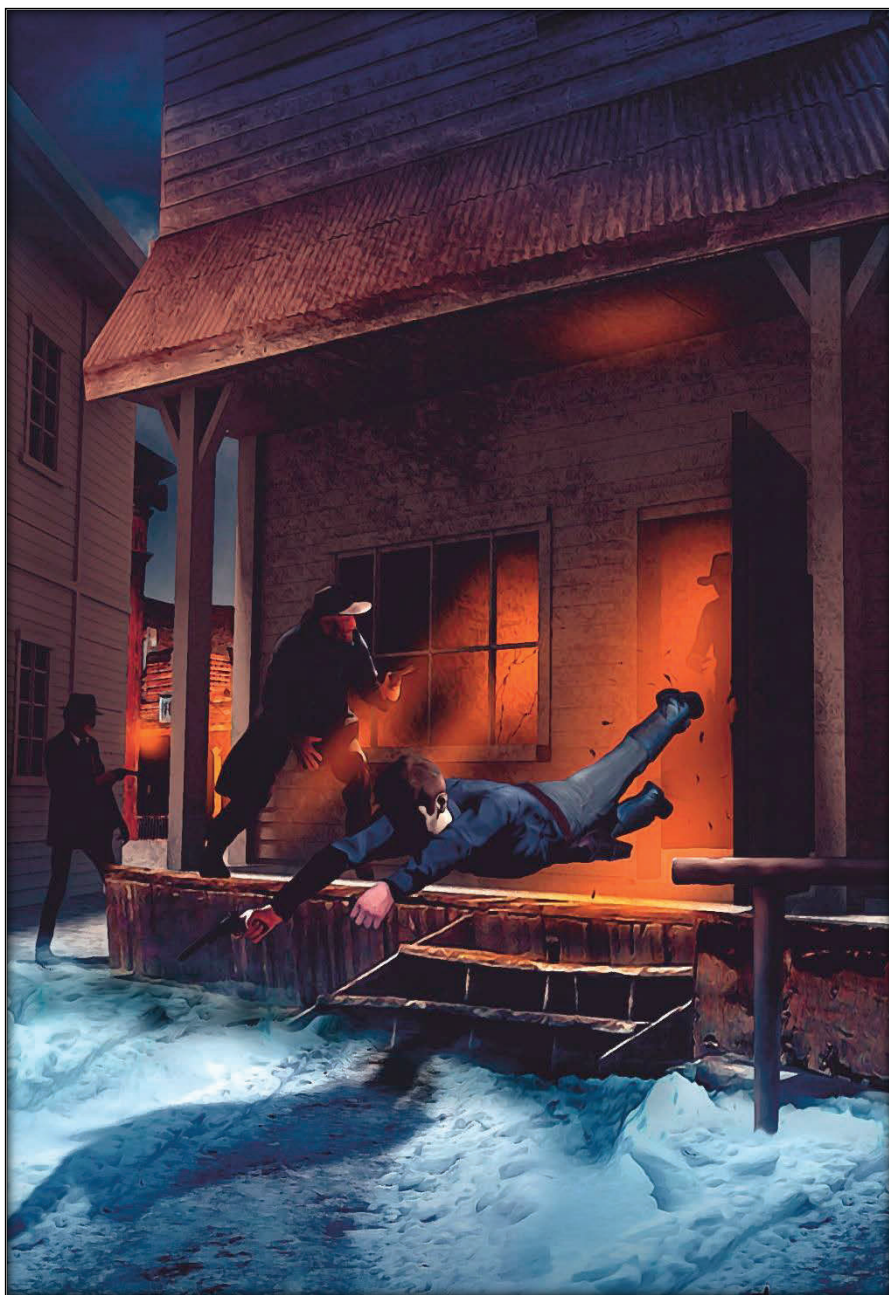
Ludzie wybiegali już z szynku.

– Niech ktoś sprowadzi lekarza! – wrzasnął Buck Duane.

Chwytał nogę mężczyzny, którego zastrzelił, i wciągnął go do miejsca, na które padało światło dobiegające przez tylne drzwi.

– Kto to jest?

– Jeden z kumpli Juda Ballewa – odparł Tom Ryan. – Nie żyje. Przez okno strzelił do Jima Willsa.



Potem skoczył szczupakiem przez utworzone tak przejście,
całą długością lądując na śniegu.

– Był z nim jeszcze ktoś – powiedział Duane. – Zapewne sam Ballew. Uciekł. Jeżeli był nim Ballew, to na pewno wróci. Lepiej szybko sprowadźcie lekarza, zanim Wills wykrwawi się na śmierć.

– W Kingston nie ma żadnego medyka – wyjaśnił Ryan. – Jimem zaopiekuje się Molly. Jest w tym dobra. Co to znaczy, że Ballew tu wróci?

– To znaczy, że lepiej, żebyście zabarykadowali ten szynk – odpowiedział Duane. – Willsa chciano zamordować, bo uwierzył w to, co mu powiedziałem. Ballew nie zamierza pozwolić wam na powstrzymanie jego wojny preriowej, a przynajmniej dopóki dostaje złoto za udział w niej. Zastrzeli każdego, kto będzie chciał spierać się z nim w tej sprawie, gdy tylko sprowadzi tu z Lewa swoich chłopców.

– Ich jest więcej niż nas – zauważył Ryan. – Co możemy zrobić?

– Na pewno nie możesz zrobić tego, czego się po was spodziewają, że zrobicie – odparł Buck Duane. Strażnik myślał jak człowiek zawodowo zajmujący się walczeniem. – Uważają, że zaczekacie tutaj i zajmiecie stanowiska przy szynkwasiu. Mają przewagę liczebną dwóch do jednego i przy tak mocno dującym wietrze podpalą szynk. Szybko spłonie jak pochodnia. Kiedy żar wygna was z wnętrza, zostanieie wystrzelani jak króliki.

– Musimy się im przeciwstawić – powiedział jeden z mężczyzn. – Jeżeli uciekniemy, ta banda darniarzy splądruje miasto. Może będą gwałcili i zabijali. Co według ciebie mamy zrobić?

– Czy mi się to podoba, czy nie, już w tym tkwię – odrzekł Duane i przeładował swojego colta. – Zamierzam zrobić jedyną rzecz, która ma szansę powodzenia. Pójdę do Lewa i zabiorę Ballewa, zanim on sam zacznie działać. Każdy, który jest gotów na walkę, może pójść tam ze mną.

Ogromny mężczyzna nie zapiął guzików płaszcza, aby móc bez kłopotu chwycić za kolby swoich dwóch rewolwerów Colta. Na głowę mocno wcisnął wielki stetson¹, rozluźnił palce i ruszył ku drzwiom wejściowemu szynku.

¹ *Stetson* – rodzaj kapelusza produkowany od roku 1865 przez firmę John B. Stetson Company z Filadelfii; filcowy, wysoki i o szerokim rondzie, szybko stał się bardzo popularny na zachodzie Stanów Zjednoczonych.

Ryan złapał wiszącą za szynkwasem strzelbę o obciętej lufie i pośpieszył za Buckiem Duane'm. Z pół tuzina innych mężczyzn, co do jednego będących ranczerami i przyjaciółmi Jima Willsa, również poszło w jego ślady. Reszta pozostała w tyle, nie potrafiąc podjąć decyzji w chwili, gdy należało coś postanowić. W tej grze stawką było życie, o czym wiedzieli mieszkańcy miasteczka i się wahali. Z czasem być może zdobyliby się na odwagę, ale cały swój czas już zużyli.

Buck Duane jednym spojrzeniem rozeznał się w sytuacji. Rozpoznał, że z tymi kilkoma wspierającymi go ludźmi nie będzie mógł stanąć do otwartego boju. W szynku Lewa musiało znajdować się co najmniej piętnastu lub dwudziestu przyjaciół Juda Ballewa, którzy wszyscy bez wyjątku będą walczyli zaciekle i desperacko.

Ogromny Strażnik Teksasu wydał pośpiesznie rozkazy Tomowi Ryanowi i innym.

– Rozstawcie się wokół szynku Lewa i schowajcie się gdzieś. Ja wejdę do środka, żeby ująć Juda. Nie spodziewają się tam jednego tylko człowieka, dlatego sądzę, że uda mi się go chwycić i wyprowadzić. Jeśli oprócz mnie ktoś jeszcze wyjdzie stamtąd, zastrzelcie go.

Było to stawienie sprawy na ostrzu noża. Być może w całym Teksasie nie było żadnego innego człowieka, oprócz kapitana MacNelly'ego, który miałby dość odwagi, aby spróbować podobnej gry. Nawet sam Buck Duane nie miał pewności, czy zdoła ją przeprowadzić. Pomimo tego musiał spróbować.

Szybkość i odwaga stanowiły jedyną broń Duane'a i posłużył się nią najlepiej, jak tylko potrafi. W jednej kwestii miał rację. Ballew i jego gromada ani przez chwilę nie dopuszczali do siebie myśli, że ktoś odważy się wejść do nich samotnie. Wszyscy nadal krzyczeli, pili, sprawdzali broń i przygotowywali się do napaści na lokal Ryana.

Duane przez wahadłowe drzwi wszedł do lokalu Lewa, wpuszczając za sobą lodowaty wiatr, który spowodował migotanie płomieni lamp naftowych stojących na nieociosanych deskach szynkwasu. Przez moment obecni nie mogli widzieć, kim jest ten stojący w drzwiach ogromny człowiek. Kiedy zdołali, zobaczyli, że są na muszce dwóch wielkich czterdziestek piątek trzymany w nieruchomych jak skała dłoniach.

Nastąpiła chwila zaskoczenia, niedowierzania i ciszy. Duane nie dał obecnym czasu na otrząśnięcia się ze zdumienia.

– Niech nikt nie ruszy nawet palcem – powiedział. Jego posępny głos wywołał lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa na wpół pijanych, przepełnionych nienawiścią darniarzy. – Przyszedłem po Juda Ballewa i zabiorę go stąd. Reszta niech zachowa całkowity spokój.

Wszyscy byli oszołomieni. Ballew jako pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

– Jesteś szalony – powiedział. – Nie zdołasz wyjść stąd żywy.

– Może i nie zdołam, Jud – odparł Duane – ale ty też nie.

Jeden ze stojących z tyłu mężczyzn sięgnął po broń. Huk trzymanego w prawej ręce colta Duane'a w ciasnym pomieszczeniu zabrzmiał głośno niby armata. Trafiony mężczyzna ryknął jak puma i upadł – jego ramię zostało strzaskane.

– Brać go! – wrzasnął Ballew.

Nikt więcej się nie ruszył. Strażnik spojrzął na nich z pogardą.

– Jeśli coś ma być brane, Ballew – powiedział lodowatym tonem – to wszystko chyba wskazuje, że będziesz musiał uczynić to sam. Czy uważasz się za wystarczająco męskiego, żeby spróbować?

Ballew swoją strzelbę trzymał w lewej ręce prawie za wylot lufy. Nie miał żadnych szans na podniesienie jej i oddanie strzału, zanimby zginął od kuli Duane'a. Mógłby jeszcze wolną prawą ręką spróbować sięgnąć po nóż lub ukryty sześciostrzałowy rewolwer. Na jego miejscu Buck Duane zdecydowałby się na ten ruch.

Jud Ballew nie okazał się na tyle mężczyzną, żeby to uczynić.

Kiedy pozostali zdali sobie sprawę, że Ballew nie zamierza dokonać takiej próby, w szynku bez trudu można było dostrzec opadnięcie napięcia. Duane wyczuł to i wiedział już, że zwyciężył.

Gdyby Jud Ballew sięgnął po broń, jego przyjaciele przyszliby mu z pomocą. Strażnik zdołałby powalić Ballewa i kilku innych, zanim sam by zginął, ale wówczas nie wykonałby wyznaczonego mu zadania. Człowiek wspierający Ballewa, kimkolwiek by był, nadal byłby w stanie rozprętać wymierzoną w stado Kinga wojnę preriową.

– Odsuść sobie, Jud – powiedział Buck Duane. – Zostaw swoją broń jak jest, opartą o bar i trzymaj ręce tak, żebym je widział. Jeśli

któryś z was chociażby beknie lub mrugnie, zastrzelę go jako pierwszego, a zaraz potem Juda. Idziemy.

Ballew wykonał polecenie. Całkiem spokojnie ruszył ku drzwiom. Duane otworzył je i pozwolił drewniarzowi opuścić szynk. Potem sam w ślad za nim wyszedł na ulicę.

Zanim pozwolił drzwiczkom zamknąć się za nim, zwrócił się do ludzi w środku:

– To miejsce jest otoczone przez uzbrojonych ludzi – powiedział. – Każdy, kto przez najbliższe pół godziny wytknie nos na ulicę, zostanie zastrzelony. Przez ten czas zostańcie tam, gdzie jesteście, a nikomu nie stanie się krzywda.

Duane wyszedł na ulicę i puścił drzwiczki, które się zamknęły. Mężczyźni w środku bez wątpienia mu uwierzyli, gdyż zachowywali spokój. Duane ruchem ręki nakazał Ballewowi, aby przeszedł długą przecznicę do szynku Ryana.

Nie dotarli tam. Obaj słyszeli tętent i stukot kopyt na twardej ziemi oraz rozdzierający uszy pisk wysmarowanych łojem kół wozów.

Wschodnim wylotem ulicy wjechała kolumna jeźdźców, którzy dla ochrony przed wiatrem wciskali głowy w podniesione kołnierze płaszczy. W wichurze i półmroku początkowo wyglądali zupełnie jak oddział kawalerii. Potem przybysze zobaczyli dwóch idących mężczyzn, w tym Duane'a z wyciągniętą bronią, i zaczęli ściągać wodze. Za nimi ukazały się duże, kryte wozy.

Sam King i jego zabójcy dotarli do Kingston dzień wcześniej, niż się ich spodziewano. King w płaszczu ze skóry bizona i czapce z futra bobra z uszami jako pierwszy jechał na dużym kasztanie. Jego ludzie rozjechali się w szyk wachlarza, żeby przegrodzić ulicę.

Buck Duane spojrział na dowodzoną przez Pecosa Reda grupę najemnych rewolwerowców. Spojrział, i swoje rewolwery umieścił z powrotem w kaburach.

– Dobry wieczór, panowie – powiedział wysoki Strażnik.

Sam King swojego dużego konia osadził na środku ulicy i spojrział z góry na dwóch stojących przed nim mężczyzn. Wyraźnie nie był całkowicie pewny, co się dzieje, i równie wyraźnie starał się tego nie okazywać. Miał za sobą długi, ciężki dzień na szlaku. Jeden z szere-

gu długich i ciężkich dni. Wozy z zaopatrzeniem kazał popędzać do granic wytrzymałości zaprzęgów i ludzi, pragnąc przed wyznaczonym czasem wrócić na ranczo.

Sam King był zmęczony. Czuł się zmęczony i wyglądał na takiego.

– Co tu się dzieje? – zapytał w końcu. – Czy pana znam?

– Nie – odpowiedział Buck Duane. – Nie zna mnie pan.

Ogromny Strażnik miał świadomość, że za nim Tom Ryan i jego przyjaciele opuszczają swoje stanowiska dookoła szynku Lewa i wchodzą na długi chodnik z desek biegnący po północnej stronie ulicy. W tym samym czasie ludzie przebywający dotąd u Lewa również wy-czuli zmianę sytuacji i wyglądali przez drzwi frontowe.

Obie strony u ranczerów były uzbrojone po zęby. Tak samo ludzie, którzy przyjechali z Samem Kingiem. Pecos Red i jego chłopcy byli zawodowcami. Wyraźnie wyczuwali zapowiedź kłopotów, ale nie byli jeszcze pewni, co dokładnie się dzieje i z jakim rodzajem kłopotów mogą mieć do czynienia.

Nie zaniedbali jednak środków ostrożności. Karabinki i ładowane dźwignią strzelby winchester wyłoniły się spokojnie z olstrów przy siodłach. Płaszczki i kurtki z grubej wełny zostały rozpięte, a wielkie czterdziestki piątki bez przyciągania uwagi poluzowano w naoliwionych skórzanych kaburach. Mężczyźni ustawili swoje wierzchowce w szereg sięgający od jednej do drugiej strony ulicy, za Samem Kingiem, i byli gotowi do ruszenia się w kierunku budynków lub zsiądnięcia z koni i schowania się za nimi, jeśli zacznie się strzelanina.

Sprawiało to wrażenie, że na całej ulicy trzeszczała śmiertcionośna elektryczność statyczna – gotowa w każdej sekundzie wyładować się przemocą i śmiercią.

– Powtarzam, co tu się dzieje? – ponownie zapytał King.

– Prowadzę tego człowieka do aresztu – odpowiedział Buck Duane.

– Do aresztu? – zdumiał się Sam King. – Kim pan w ogóle jest? Czy to miasto wynajęło szeryfa, kiedy byłem nieobecny?

– On nie jest żadnym szeryfem – powiedział Jud Ballew. – Jedynie oszalałym bezrobotnym kowbojem, który zbyt szybko chwytają za broń. Niech pan każe mu mnie wypuścić, panie King.

– Kim jesteś? – zapytał King. – Za co on cię zatrzymał?

Buck Duane nie dał Ballewowi szansy na udzielenie odpowiedzi.

– Ten człowiek strzelił do ranczera Jima Willsa i poważnie go zranił – wyjaśnił Samowi Kingowi. – Strzelił mu w plecy przez okno. Uczciwi obywatele tego miasta chcą, żeby stanął przed sądem.

– Strzelił do Jima Willsa? To straszne. Przekaze nam pan tego człowieka. Zatrzymamy go na ranczu do czasu, aż będzie można posłać po szeryfa lub sędziego.

– My też możemy go zatrzymać – powiedział Duane.

– Naprawdę możecie? W tej sprawie ja będę sędzią. Kim jest ten człowiek, i kim pan jest?

– To jest Jud Ballew – zawołał Ryan z chodnika z desek. – Jeśli przekażemy go w pańskie ręce, jaką będziemy mieli pewność, że nie zostanie z miejsca zastrzelony?

– Ballew? – Sam King pchnął konia ostrogą, aby w słabym odbitym świetle móc lepiej przyjrzeć się więźniowi. – A więc to tak. Właśnie tak. Na pewno go zatrzymamy.

Jego jeźdźcy przesunęli się nieco, lufy strzelb i rewolwerów opierając na łąkach siodła. Pokazywali jasno, że zamierzają wspierać Kinga.

Ten ponownie odwrócił twarz, aby spojrzeć na Bucka Duane'a. Strażnik stał niewzruszony.

– Kim pan jest? Chyba powiedział pan, kim jest? – zapytał Sam.

– Nie powiedziałem, panie King.

Za plecami Sama Kinga jeden z jego jeźdźców przesunął się koniem w pobliże Pecosa Reda.

– Pecos, widziałem kiedyś tego wielkiego chłopca – powiedział. – Nie wiem gdzie, ale sobie przypomnę. Wiem jedno. Z rewolwerem jest zabójczy.

– Obojętnie kim jest, nie zdoła załatwić nas wszystkich – odrzekł Pecos, a następnie głośniejszym głosem zwrócił się do Duane'a: – Hej, ty! Słyszałeś, co powiedział pan King. Zabieramy tego człowieka. Jeśli nie jesteś szeryfem, zejdź nam z drogi.

Buck Duane zastanawiał się szybko. Jeśli teraz rozpocznie walkę, ludzie Pecosa będą mogli go powalić. Wówczas na pewno niewiele

by tym zyskał. Ryan i kilku jego ludzi zostaliby zabici, a ich śmierć nie dałaby niczego znaczącego. Właśnie w tym czasie od wozów z tyłu podjechał inny jeździec. Georgia King była piękną nawet opatulona przeciwko mrozowi. Osadziła swojego wierzchowca i przez dłuższą chwilę przyglądała się Strażnikowi Teksasu. Potem zwróciła się do ojca:

– Może być każdym, ale nigdy zwykłym człowiekiem. Nie naciskaj na niego za bardzo.

– Nie wtrącaj się – odparł ostro Sam King.

– No właśnie, panno Georgio – powiedział Pecos Red. – Niech pani zjedzie nam z drogi. Może dojść do strzelaniny.

Buck Duane nieco się cofnął.

– Dziś wieczorem było już za dużo strzelania. Nie jestem szeryfem. Jeśli tak chcecie, zabierzcie tego człowieka, ale pamiętajcie, że ludzie oczekują postawienia go przed sądem.

Odszedł, aby stanąć na chodniku obok Ryana. Jeden z jeźdźców Pecosy odpiął konia Ballewa od konowiazu i kazał mu na niego wsiąść. Następnie cała grupa odjechała w stronę rancza. Przyjaciele Ballewa nie ruszyli nawet palcem, żeby go ratować. Teraz również dosiedli swoich wierzchowców i opuścili miasteczko. Trafienie przywódcy do aresztu na jakiś czas odebrało im ochotę na walkę.

Buck Duane, Ryan i reszta ich grupy wrócili do szynku. Jim Wills na tyle odzyskał już siły, że mógł siedzieć na krześle, a Molly Ryan właśnie kończyła go bandażować.

– Jim wyliże się z tego – powiedziała im. – Ma roztrzaskany obojczyk, ale kula przeszła na wylot. Nie sądzę, by przebiła serce czy płuco.

– Bogu niech będą dzięki – odetchnął Ryan.

– Co teraz zrobimy? – słabym głosem zapytał Wills.

– Na razie trochę się prześpimy – odpowiedział Duane. – Jeśli chcecie, postawcie strażnika, ale dziś nie spodziewam się więcej żadnych kłopotów. Ballew jest teraz więźniem i jego ludzie przez jakiś czas będą siedzieli cicho. To on w tym tłumie był prawdziwym podżegaczem.

– Czy nie sprawia to, że najemni rewolwerowcy starego Jareda mają większą swobodę w rozprawieniu się z resztą nas? – zapytał

jeden z ranczerów. – Jud Ballew i jego chłopcy przynajmniej walczyliby z nimi. Według mnie nasza sytuacja stała się teraz jeszcze gorsza niż była przedtem.

– Może nie trzeba już będzie walczyć – powiedział Buck Duane. – Rano Ryan, ja i kilku z waszych sprawdzimy, czy nie uda się nam porozmawiać z Jaredem Kingiem. Ballew był prawdziwym wi chrzycielem, a teraz wypadł z gry. Zobaczymy, czy nie zdołamy doprowadzić do zawarcia pokoju, zanim wybuchnie wojna.

Duane był śmiertelnie zmęczony, gdy położył się do łóżka w swoim pokoju w szynku Ryana, całkowicie ubrany, zdjawszy jedynie buty i płaszcz. Pomimo tego nie zasnął od razu. Pewne rzeczy zbytnio go dręczyły.

Po pierwsze oczekiwał, że Sam King nakaże z miejsca, jeszcze na ulicach miasteczka, zabić Juda Ballewa. Darniarz był tym człowiekiem, który zasadził się na dwóch kowbojów z King's Crown i ich zabił. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt nie potrzebował dowodów. Tacy ludzie jak Sam King nie zapowiadali czekania na szeryfa. Sprawiedliwość na pograniczu działała w sposób szybszy i pewniejszy.

Ballew też musiał o tym wiedzieć, a jednak nie podjął najmniejszej próby zwrócenia się o pomoc do przyjaciół. W obliczu niechybnej śmierci postąpił jak na siebie nienaturalnie oddając się potulnie w ręce śmiertelnych wrogów. W całym tym zdarzeniu było coś bardzo mało zwyczajnego. Wprawiało to Strażnika w niepokój. Zastanawiał się, czy mógłby coś z tym zrobić.

Buck Duane zaczynał już podejrzewać, kim jest ten, który tak naprawdę chciał wojny – człowiek wysyłający złoto i wiadomości mające podburzyć Juda Ballewa. Chwilę później Strażnik zapadł w sen.

Przed świtem obudziły go odgłosy kopyt bardzo poganianego kuce, który pędził po utwardzonej mrozem ulicy i zatrzymał się przed zajazdem Ryana. Chwilę później znajomy głos przywołał pozostającego we wnętrzu szynku wartownika.

Buck Duane zdążył odrzucić koce i wciągnąć buty, zanim usłyszał, jak Jackrabbit Kid zapukał do drzwi jego pokoju.

– Wstawaj, Buck – wołał Kid. – Rozpęta się tu istne piekło.

Kiedy Buck Duane otworzył drzwi pokoju, Kid wpadł do środka.

– Jaki tylko masz pomysł, lepiej zacznij go wprowadzać w życie – powiedział Strażnikowi. – Na wielkim ranchu mają wyłącznie kłopoty.

– Co się stało? – zapytał Duane. – Myślałem, że przez jakiś czas będzie spokój, bo Ballew został zamknięty i w ogóle.

– W tym właśnie rzecz – odpowiedział Kid. – Ballew nie został zamknięty. Jest na wolności i pała żądzą krwi. Przede wszystkim twojej krwi.

– Co się stało?

– Nie jestem całkiem pewny – odparł Kid. – Sam, Pecos i cała ta gromada przyjechali bardzo późnym wieczorem. Nikt ich się nie spodziewał. Stary Jared już położył się do łóżka. Sam i dziewczyna poszli do jego pokoju, żeby z nim porozmawiać. Ponieważ było tak późno, Jared nie zszedł, żeby zobaczyć Ballewa. Kazano zamknąć go w szopie przy jednej z wielkich stodół i postawić na straży któregoś ze zwykłych kowbojów. Podobno ludzie Pecosy byli zbyt zmęczeni, żeby pełnić wartę. Może i byli. Nie wiem. W każdym razie wstałem przed świtem i poszedłem do szopy. Chciałem zobaczyć, jak wygląda ten waćpan Ballew. Nie zdążyłem. Strażnik leżał na ziemi z głową rozwaloną łufą rewolweru. Drzwi do szopy zostały wyłamane, a po Ballewie nie pozostał nawet ślad. Ulotnił się wraz z zimowym wiatrem.

– Coś wtedy zrobił?

– Nie miałem czasu na zrobienie czegokolwiek. Właśnie wtedy z czworaków wyszła para chłopaków Pecosy. Gdy zobaczyli mnie przy drzwiach, jeden z nich krzyknął, że uwolniłem Ballewa, i sięgnął po broń. Byłem szybszy. Postrzeliłem go w ramię. Drugi schował się do stodoły i zaczął strzelać do mnie przez drzwi. Krzyki i wrzawa w czworakach powiedziały mi, że reszta szybko zacznie mnie ścigać, dlatego uciekłem. Szczęśliwie dla mnie jeden z nocnych strażników właśnie przyjechał, żeby ktoś go zastąpił. Jego koń stał osiodłany przy konowiązie obok szopy kuchennej. Dosiadłem go piorunem i ruszyłem prosto tutaj.

– No, bardzo ładne – powiedział Buck Duane. – Teraz ścigają cię za kradzież konia. Na dobitkę mają kogoś, kogo mogą oskarżyć o uwolnienie Ballewa, a tym kimś jesteśmy my, ponieważ pojechałeś prosto

do miasta. Mają teraz powód pozwalający wysłać teraz na nas Pecos Reda. Wojna może wybuchnąć już zaraz, zanim nawet zyskałiśmy szansę porozmawiania o pokoju.

– Co mogłem zrobić, Buck?

– Pewnikiem nic innego niż to, co żeś uczynił. Choćbyś nawet nie odkrył, że Ballew uciekł, to i tak winiliby o to naszą stronę. Jeśli pozwolili zbiec temu darniarzowi, to tylko z jednego powodu, żeby wywołać wojnę.

– Myślisz, że go wypuścili? Sądziłem, że może to kilku przyjaciół Ballewa zakradło się i go wykradło. – Kid był szczerze zaskoczony.

– Nie tak to widzę – powiedział wielki Strażnik. – Mogła trochę ich rozbawić łatwość, z jaką wczoraj wieczorem dał się przez nich zabrać. Jakby wiedział, że nie musi się o nic martwić. Ballew miał na ranczu znajomego, który go wypuścił. Zapewniło to wymówkę do rozpoczęcia wojny i dało Judowi swobodę do zrobienia tego, za co od samego początku mu płacono.

– Rozpoczęcia wojny?

– Nie, zakończenia jej. Zakończenia wojny, która cofnie stan Teksas o dobre dwadzieścia lat, do czego właśnie miała doprowadzić.

– Co się teraz stanie?

– Mogę ci powiedzieć, co – odrzekł Buck Duane. – Pecos i wszyscy ludzie, których można wysłać z rancza, twoim śladem jadą już do miasteczka. Musimy się z niego wynieść, zanim tu dotrą.

– A nie wydać im walki? To do ciebie niepodobne, Bucku.

– Spodziewają się, Kidzie, że wydamy im walkę. Chcą, żebyśmy wydali walkę. Kiedy Pecos i jego chłopcy zapędzą nas do tych zabudowań, nie zdołamy ich opuścić przez cały rok. A wystarczy im jeden dzień.

– Możemy ich powstrzymać – powiedział Kid.

– No pewnie, że możemy. Właśnie tego od nas chcą.

– Nie chwytam tego, Buck. Nie rozumiem.

– Jasne, że rozumiesz – powiedział Duane. – To dlatego, że zapomniłeś o dzikiej karcie w tej rozgrywce. Jest nią Jud Ballew. W tej całej wojnie preriowej stawka była tylko jedna: umożliwienie Judowi wykonania jego zadania.

– Jakiego zadania?

– No oczywiście unicestwienia King's Own Herd. O to właśnie toczy się cała gra. Ważni ludzie w stanie nie chcą, żeby owe stado dotarło kiedykolwiek do bocznic kolejowej. Stary Jared swoją nową wołowiną wyprzedza ich o dziesięć lat i dobrze o tym wie. Kto wysłałby złoto takiemu darniarzowi jak Jud? Ktoś ważny, nikt inny. Ktoś pragnący zobaczyć zabijanie tego bydła, żeby móc samemu wyhodować takie najlepsze stado, skoro Jared udowodnił już, że to możliwe. Teraz dostali swoją szansę. Mieszkańcy miasteczka i tacy jak Jim Wills przystąpią tutaj do walki z Pecosem. Kiedy wszyscy będą zajęci, pojawi się Jud Ballew i jego kamraci, zabiją strażników i rozpedzą stado. Jeśli nie uda się im usunąć je w całości, to przynajmniej zabiją byki i najlepsze zwierzęta rozplodowe. Tego właśnie tak naprawdę chcą.

– Czyżbyś chciał im na to pozwolić?

– Jasne, że nie – odpowiedział Duane. – Chodźmy.

Ryan i kowboje z małych rancz zebrali się już w barze na parterze, zwabieni przybyciem Kida.

– Pecos i jego rewolwerowcy, a zapewne także Sam King z większością kowbojów z King's Crown jadą już w stronę miasta – powiedział im Duane. – Obudźcie mieszkańców. Ustawcie barykady z wozów w poprzek ulicy na obu jej krańcach. Nie pozwólcie na wjazd tutaj. Będą szukali Ballewa i Kida. Mówcie im, że ich tu nie ma. Przez chwilę toczcie rokowania, a potem zaproponujcie, że wpuścicie Sama Kinga, żeby przekonał się o tym na własne oczy. Opierajcie się tak długo, jak tylko zdołacie. Będę potrzebował czasu tam, dokąd jadę.

– Jedziesz? – zapytał z podejrzliwością jakiś głos. – Wycofujesz się, kiedy dochodzi do walki?

– Właśnie – powiedział Ryan. – Przypuśćmy, że wezmą miasto szturmem i zabiją nas wszystkich. Nie jesteśmy żołnierzami.

– Nie wezmą szturmem tego miejsca – zapewnił ich Duane. – Pecos jest zabójcą i wojownikiem, ale nie głupcem. Tak naprawdę chcą na jakiś czas zamknąć was wszystkich tutaj. Obie strony będą grały na zwłokę. Dlatego więc miałby pozwolić, żebyście zabili choćby

paru jego chłopców? Poza tym Sam King nie chce masakry, bo ta zmusiłaby gubernatora do przysłania Strażników Teksasu. Obie strony urządzają pokaz sztucznych ogni i na tym wszystko się skończy. Prawdziwa walka zostanie stoczona tam, gdzie będą ja.

Buck Duane wybrał trzech kowbojów mających pojechać z nim i Kidem. Jeden z nich był łobuzem wyglądającym na potrafiącego posługiwać się bronią. Dwaj pozostali walczyli w Brygadzie Teksaskiej Hooda¹. Na całym świecie trudno byłoby znaleźć bardziej doświadczonych weteranów.

Piątka mężczyzn wyjechała z miasta o bladym, lodowatym świecie. Przyćmione i czerwone niby płonący węgiel słońce lśniło tuż nad wschodnim horyzontem, a masy poszarpanych, brudnoszarych chmur ciągnęły na południe niesione gorzkim wiatrem, który z chrzęstem szarpał kępki wyschłych traw i gnał kule wyrwanych roślin, pędzących szaleńczo w ucieczce przed jego siłą.

Jeźdźcy nosy i usta przewiązali chustkami i otulali się ciężkimi, wełnianymi płaszczami. Strażnik poprowadził ich długim łukiem, aby znaleźli się daleko od prowadzącej do miasteczka drogi.

– Ostatnią rzeczą, jakiej teraz chcę, jest wdanie się w walkę z czeredą Pecosa. Dajmy jej jechać na pokaz fajerwerków w mieście.

– Dzień jest za zimny na walkę – powiedział Jackrabit.

Duane wybuchnął śmiechem.

– Podaj mi dobrą pogodę na umieranie – dodał. – A jakiego dnia padło Alamo²?

¹ *Brygada Teksaska Hooda* – jednostka piechoty armii Konfederacji, utworzona w roku 1861 w Wirginii, złożona z 1., 2. i 5. Teksaskiego Pułku Piechoty, później dołączono inne oddziały, dowodzona pierwotnie przez gen. Louisa Wigfalla, od roku 1862 przez gen. Johna Bella Hooda, który za doskonałe dowództwo został po niecałym roku awansowany, ale w uznaniu zasług pozostała nazwa Hood's Texas Brigade; włączona do Armii Północnej Wirginii brygada brała udział w wielu bitwach, w tym pod Gettysburgiem, aż do roku 1865.

² *Alamo* – misja hiszpańska w San Antonio, broniona od 23 lutego do 6 marca 1836 roku przez około 200 powstańców z Republiki Teksasu, walczących o niezależnienie się od Meksyku, do którego wówczas należał Teksas, przeciwko oblegającym misję dużo liczniejszym wojskom meksykańskim; podczas ostatecznego szturmego obrony zginęli, a walka o Alamo stała się legendarna; 6 marca było bardzo zimno.

– Dokąd idziemy, Buck?

– Rusz no głową, Kid. Ballewowi zejdzie trochę czasu na zgromadzenie swojej gromady, połowa z niej jest nadal pijana i rozproszona. Jak tylko ją zbierze, popędzą jak szaleni w pogoń za King's Own Herd. Stary Jared King domyśli się czegoś takiego. Spróbuje sprowadzić stado do wielkich corrali¹ na ranczu. Tylko w ten sposób będzie mógł je bronić. Rozejrzy się i zobaczy, że jego brat Sam większość kowbojów zabrał do miasta i być może wyśle kogoś z rozkazem ich powrotu, ale będzie już za późno. Stado o tej porze jest szybko pędzone do zabudowań rancza, a Jud Ballew pogna za nim.

– A więc spróbujemy dostać się między obie grupy?

– Nie spróbujemy. Mający dwudziestu-trzydziestu damiarzy i awanturników Ballew ma od nas pięć razy więcej ludzi, tak samo jak trzy razy od kowbojów i dwa lub trzy od ludzi, których Jared może wysłać z rancza.

– Co zatem zrobimy?

– Na razie – odpowiedział Buck Duane – oszczędzaj oddech na jazdę.

Pięciu mężczyzn dobrze jeździło konno i dosiadało dobrych wierzchowców. Po przybyciu do miasteczka Duane dokonał rozpoznania terenu. Wiedział dokładnie, gdzie prawdopodobnie będzie stado, jak też znał czas potrzebny na dotarcie do niego.

Pomimo tego ludzie Duane'a o mało się nie spóźnili. Wjechali na szczyt niskiego grzbietu biegnącego wzdłuż doliny, którą do zabudowań rancza spływał strumień, i zobaczyli przed sobą rozciągnięte stado. Wspaniałe zwierzęta tworzyły długi szereg, poganiany do biegu przez zdesperowanych kowbojów.

Duane zdołał rozpoznać starego Jareda Kinga, wyróżniającego się ogromnym wzrostem i władczą postawą. Towarzyszyli mu trzej nocni pasterze, dwaj ludzie z rancza i smukła postać o długich, powiewających włosach, którą musiała być jego bratanica, Georgia King.

Cała siódemka popędzała stado, usiłując nie pozwalać, żeby się rozproszyło i zatrzymało. Pół mili za nią – i zbliżając się szybko z gło-

¹ *Corral* (hiszp. zagroda) – w Stanach Zjednoczonych określenie ogrodzonych przestrzeni do przetrzymywania koni, owiec i bydła.

śnym tętentem – pędził długi, nierówny półksiężyc jeźdźców dosiadających małe, kudłate mustangi. Jud Ballew i jego dzicy ludzie jechali jak Komancze i stosowali taktykę walki tego plemienia. Wyprzedzali stado w długiej linii. Ludzie w jej środku zaatakują i powalą tylną straż Jareda Kinga, podczas gdy dwa długie skrzydła okrążą stado i pognają je z powrotem.

Zmuszony do zajmowania się stadem i mający tylko kilku ludzi King nie miał żadnych szans. Nie miał, dopóki do walki nie włączył się Buck Duane i jego towarzysze.

Ballew i środkowa zwarta grupa jego bojówkarzy znajdowali się w odległości trzystu jardów za stadem. Jared King i dwaj jego kowboje zatrzymali już swoje konie i zwrócili je w przeciwnym kierunku. Z wyciągniętą bronią byli gotowi do dzielnej, ale beznadziejnej walki, chcąc dla ściganego stada zyskać choćby kilka minut więcej.

Wiatr przyniósł dziki, przeszywający wrzask krwiożerczego triumfu szarżujących ludzi Ballewa. Dokładnie w tej właśnie chwili Buck Duane i jego czterej towarzysze uderzyli na prawe skrzydło dzikich napastników. Darniarze początkowo nawet nie zauważyli ich przybycia. Rozległy się strzały i padli ludzie. Konie bez jeźdźców wjechały w środek szeregu.

Niektórzy darniarze zawrócili i spróbowali walczyć. Mieli naprzeciw siebie zaprawionych w bojach weteranów. Duane i jego ludzie strzałami zwalili z siodła najbliższych napastników. Chłopcy Ballewa nie byli bohaterami. Ich odwaga nie zdołała stawić czoła zamianie polowania na króliki na krwawą i budzącą strach bitwę. Okręcili w miejscu swe kucyki i uciekli w głąb oblodzonej równiny.

Ostała się tylko jedna grupka, złożona z sześciu lub ośmiu ludzi. Z pełną prędkością pędziła dookoła drugiego skraju biegnącego nadal bydła. Dowodzeni przez samego Juda Ballewa, zmierzali w kierunku czoła stada, gdzie uciekały wspaniałe byki rozplodowe. Gdyby udało się zabić te ogromne zwierzęta, Ballew wypełniłby przynajmniej znaczną część swojego zadania.

Jared King i jego pasterze widzieli, co tamci zamierzali uczynić, ale w żaden sposób nie mogli temu zapobiec. Ballew już ich wyminął

i znajdował się po odległej stronie stada. Nie mieli najmniejszych szans na powstrzymanie go, zanim zdąży dogonić byki i wystrzelać je tak, jak w przeszłości Indianie strzelali do uciekających bizonów.

Wówczas to Buck Duane pochylił się do przodu nad łękiem siodła i przemówił do swojego konia, pobudzając Bulleta do popędzenia z ogromną prędkością. Wielki koń niemal fruwał nad prerią, równoległe do Ballewa, ale po przeciwnej stronie stada. Był znacznie szybszy od mustangów, na których jechała dzika drużyna, i prędko je doganiał.

Po zrównaniu się z czołem stada, a potem wyprzedzeniu go, Duane zwrócił Bulleta w lewo i ponaglił wiernego konia do ostatniego zwiększenia szybkości, dzięki czemu przeciął szlak w poprzek, ledwie zdążając przed pędzącym teraz w popłochu bydłem.

Po ominięciu stada znalazł się na wprost szarżujących bravos¹ Ballewa. Darniarz spróbował zsunąć się na przeciwny bok swojego kuca, stosując stary indiański podstęp wojenny, i jednocześnie wypalić do Duane'a ze swojej strzelby. Kucyk zatoczył się, usiłując zejść Bulletowi z drogi, a kula ze strzelby o kilka cali minęła twarz Strażnika.

Huknęła czterdziestka piątka Duane'a i ciężki pocisk trafił Ballewa prosto między oczy. Przywódca darniarzy zwolnił uchwyt łęku siodła. Jego kucyk poniósł, wlekąc martwe ciało swojego właściciela, którego noga uwięzła w strzemieniu. Pozostali ludzie Ballewa w trosce o życie uciekli, nie zatrzymując się nawet, żeby zabrać zwłoki swojego dowódcy.

Przybyli z Buckiem Duane'm ludzie po kilku chwilach pomogli kowbojom Jareda Kinga w zmuszeniu biegnącego stada do skręcenia, tak iż było utworzyło kłębiący się krąg. Teraz nie było już potrzeby zmuszania wspaniałych krów do tracenia wagi podczas biegu i narażania ich podczas ucieczki na złamania kości lub śmierć. Były one zbyt cenne, żeby tak ryzykować, dlatego przez resztę drogi do corrali rancza pędzono je wolnym krokiem.

¹ *Bravos* liczba mnoga od *bravo* (hiszp. dzielny, odważny) – w Stanach Zjednoczonych nazywano tak awanturników, płatnych zabójców, nieregularnych żołnierzy.

Dopiero po zapanowaniu nad stadem Jared King znalazł czas na podjechanie do ogromnego Strażnika Teksasu. Obaj ustawili się twarzą w twarz i nawzajem zmierzyli się wzrokiem. Każdy z nich był przywódcą ludzi, przy czym wyczuwalny autorytet ranczera wynikał z zamożności i prestiżu oraz swobody człowieka urodzonego do panowania, a Bucka Duane'a z pewności siebie osobnika, który prawo do darzenia go szacunkiem dowodził na trudnych polach bitew życiowych.

Podeszła i dołączyła do nich Georgia King. Jako pierwszy odezwał się właściciel King's Crown.

– Należą się panu podziękowania – stwierdził szczerze. – Uratował pan coś więcej, niż tylko kilka krów i życie starego człowieka.

– Wiem – powiedział Buck Duane. – Z pańskim stadem wiąże się wielki kęs przyszłości Teksasu. Prawdę mówiąc, sir¹, to właśnie z tego powodu zostałem tu wysłany. Jestem przyjacielem pańskiego przyjaciela z San Antonio. Nazywa się kapitan MacNelly.

– MacNelly ze Strażników! – w głosie Kinga zabrzmiało zaskoczenie. – Nic dziwnego, że zjawił się pan w samą porę. Skąd jednak MacNelly wiedział o naszych kłopotach tutaj?

Buck Duane obdarzył ranczera długim, badawczym spojrzeniem.

– Myślę, że najlepiej uczyni pan, jeśli sam do niego napisze i zada to pytanie – powiedział. – Niech na razie wystarczy, że jestem jego przyjacielem, a także pańskim, jeśli tylko nie ma pan nic przeciwko temu.

Jared King odwzajemnił mile spojrzenie, po czym podjął decyzję.

– Niech na tym zostanie – wyraził zgodę. – Wiem, że w niektórych sprawach kapitan nie może czasami działać otwarcie, lecz słyszałem, że pomimo tego ma sposoby, aby je załatwiać. Przypuszczam, że pan jest jednym z owych sposobów.

Buck Duane w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

– To właśnie ten człowiek wyprzedził nas za San Antone – powiedziała wtedy Georgia. – Jest on także tym, który wczoraj wieczorem w Kingston trzymał Ballewa na muszce.

¹ *Sir* – brytyjski tytuł honorowy, przysługujący szlachcicom, w wojsku także oficerom, stosowany również grzecznościowo jako wyraz szacunku dla rozmówcy.

– Och, to był pan? – zapytał Jared King. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie zatrzymał pan Juda Ballewa, skoro już go miał? Leżący teraz na ziemi martwi ludzie żyliby nadal, gdyby pan to uczynił.

– Czy na pewno żyliby? – Duane wyraził poważną wątpliwość. – Panie Jaredzie King, na pytanie odpowiem teraz pytaniem. Który z przyjaciół Ballewa przybył o świcie na pańskie ranczo i uwolnił go, dzięki czemu mógł zebrać swoich ludzi?

– Nie było żadnych oznak przybysza – odpowiedział King.

Nie dodał: „Ballew miał przyjaciela na ranczu”. Te niewypowiedziane słowa zabrzmiały jednak w umysłach ich obu.

– Mali ludzie, którym przewodził Ballew, nienawidzili pańskiej władzy i pańskiego stada – mówił Duane. – W Teksasie są i wielcy ludzie, którzy również potrafią być zawistni i chciwi. Czy nie mieli przyjaciela, który panu zazdrościł, przyjaciela przebywającego w King’s Crown? Zaś moim zdaniem, czy jest coś łatwiejszego niż wojna o krowy?

W oczach wielkiego ranczera dostrzegł, że zna on jedyne nazwisko owego przyjaciela, które można było wymienić – jego brata, Sama Kinga. Żaden z nich nie chciał wypowiedzieć tego nazwiska, ani wówczas, ani później. Wedle panującego na pograniczu Teksasu zwyczaju załatwianie takich rzeczy zostawiali ludziom gorszego rodzaju. Wtedy właśnie Jared King coś pojął. Przypomnił sobie o Pecosie Redzie i ludziach, których rewolwery kupił jego brat.

– Czyli to jeszcze nie koniec – powiedział na wpół do siebie.

– Nie rozumiem, z czym jeszcze nie koniec? – zapytała Georgia King. – Och, popatrz, wujku Jaredzie. Nadjeżdża ojciec.

Dwaj mężczyźni podążyli za jej spojrzeniem. W ich kierunku przez prerię galopem zmierzał Sam King. Towarzyszyło mu trzech mężczyzn. Jednym z nich był Pecos Red.

– Przyjeżdża sprawdzić, czy stado jest bezpieczne – powiedziała Georgia.

Jej wuj i Strażnik Teksasu wiedzieli w tej kwestii coś więcej. Sam King przyjeżdżał, aby się upewnić, że Jud Ballew powalił stado.

– Lepiej wyjadę mu na spotkanie – powiedział Jared King.

Wtedy wtrącił się Buck Duane:

– To nie będzie konieczne, panie King. Moje dzisiejsze zadanie nie zostało jeszcze wykonane.

Określił łeb Bulleta i pojechał na spotkanie czterech mężczyzn, którzy nadciągali, mając bijący im w twarz kęsający północny wiatr. Dostrzegli go i rozpoznali. Sam King wydał rozkaz, po czym powstrzymał swojego wierzchowca. Ten człowiek walkę zostawiał innym, sam zaś poprzestawał na patrzeniu.

Pozostali rozdzielili się i powściągnęli konie do wolniejszego kroku. Pecos jechał pośrodku, mając po jednym swoim człowieku po lewej i prawej stronie. Kiedy zbliżą się dostatecznie, wszyscy razem zasypią Strażnika ołowiem.

Buck Duane podniósł głowę i zsunął chustkę z ust, żeby rewolwerowcy mogli zobaczyć jego twarz. Jego wielki koń jechał szybko i swobodnie. Strażnik nie spuszczał z oka Pecos Reda. Tamten był pewny siebie. Trzech na jednego dawało spore szanse na zabicie. Zbliżał się szybko.

Mężczyzna z jego prawej strony powiedział:

– Pecos, to Buck Duane. – Jego głos nasilił się do krzyku, kiedy ogarnięty strachem zawrócił konia. – To człowiek, który jest szybszy od węża!

Dwaj pozostali jednocześnie sięgnęli po broń.

Buck Duane poczuł w żołądku twardość i zimno ucisku, który zawsze zapowiadał walkę na śmierć i życie. Zimno posępnej i twardej ni-by łód determinacji. Wypuścił wodze, a broń jakby sama wskoczyła w każdą z wielkich dłoni.

Dla ludzi przyglądających się stadu wystrzały zabrzmiały jak bardzo szybkie, krótkie uderzenia w bęben. Kiedy umilkły, Pecos i jego towarzyszy leżeli na darni, pokonani i martwi. Ich konie biegły bez jeźdźców. Człowiek, który rozpoznał Duane'a, pochylił się nisko nad grzywą swojego wierzchowca i chcąc uratować życie odjeżdżał, aby w pobliżu Kingston dołączyć do swoich przyjaciół. Wszyscy opuścili tę krainę.



Wypuścił wodze, a broń jakby sama wskoczyła w każdą z wielkich dłoni.

Sam King siedział na swoim koniu, z twarzą poszarzałą i stwardniałą. Brat nie ukarze go, ale Sam King był już człowiekiem przegranym.

Poranne słońce przebiło się przez chmury i zalało blaskiem Bucka Duane'a, siedzącego na grzbiecie Bulleta. Zalało blaskiem Jareda Kinga, białowłosego i wysokiego oraz wielkiego byka rozplodowego, który przewodził stadu.

Słońce Teksasu zsyłało złote promienie na królów teksaskiej prerii.

KONIEC



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!